

Odgłosy

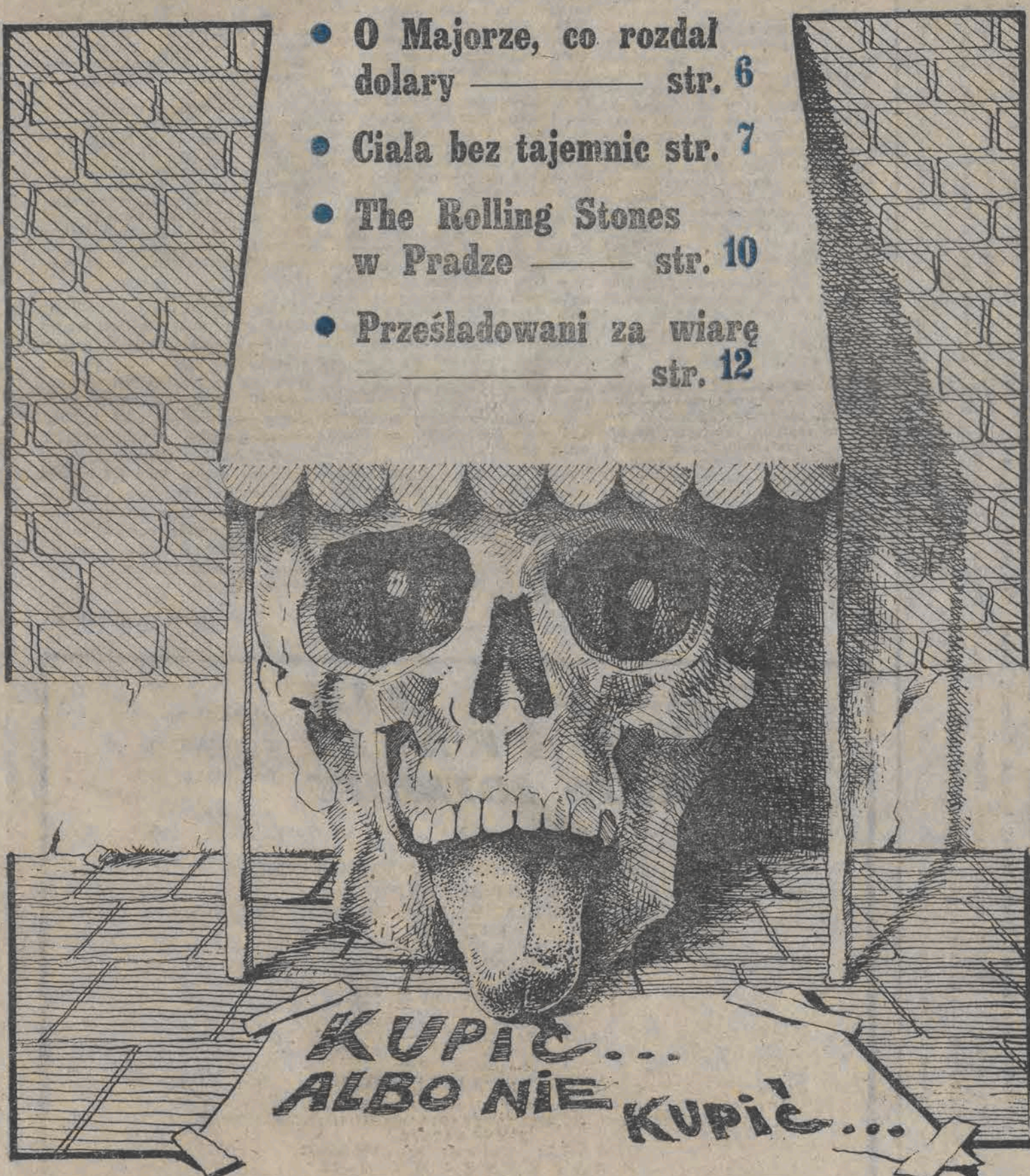
Jak próbowałem
narodzić się od nowa
— czytaj str. 8 i 9

NR 1681 ROK XXXIII

15—30 WRZEŚNIA 1990 R.

CENA 1200 ZŁ

- O Majorze, co rozdał dolary — str. 6
- Ciała bez tajemnic str. 7
- The Rolling Stones w Pradze — str. 10
- Prześladowani za wiarę — str. 12



KUPIĆ...
ALBO NIE KUPIĆ...

Autorzy numeru: Jan Babiński, Dariusz Dorczyński, Konrad Frejlich, Magdalena Grochowalska, Jacek Indelak, Marek Juszkiewicz, Beata Kostrewska-Jamroz, Marek Koproński, Roman Kubiak, Bogda Madej, Monika Matuszak, Błażej Torzański, Andrzej Gębarowski — redaktor numeru, Janusz Kozłowski — redaktor techniczny, Grażyna Olechnowicz — sekretarz redakcji, Dariusz Romanowicz — grafik.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany tytułów.

Adres redakcji: 90-113 Łódź ul. H. Sienkiewicza nr 3/5 tel. 36-52-44.

Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy” na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

W poszukiwaniu błękitnej krwi.

W 1990 roku pochodzenie robotnicze przestało być rodowodem jedynie słusznym. Tata ślusarz i mama tkaczka nie otworzą już potomkowi drogi na studia ani do kariery w Komitecie Blokowym — bo ten ważniejszy sam się rozwiązał. Marzenie o błyskawicznym awansie z murarza na sekretarza trzeba, przynajmniej na razie, odłożyć do lamusa. Tym bardziej, że czasowo zameldowany w Libii Albin Siwak zabrał z sobą wiedzę ostatniego eksperta od tych spraw.

Aby w nowej sytuacji nie skończyć kariery na stołku starszego referenta, trzeba czym prędzej postarać się o lepszego przodka. W 1990 roku preferowane jest pochodzenie arystokratyczne lub szlacheckie. Posiadanie takiego rodowodu deklarował średnio co drugi kandydat startujący w wyborach do magistratu. Kandydaci z okręgów rolniczych musieli legitymować się antenatem — właścicielem dworku z czworakami, tartaku, a najlepiej — gorzelnii. W gminach siedleckiego o godność reprezentanta ludu zmierzono się 27 potomków ziemian, 18 wnuków asesorów i rejentów, 4 hrabiów i 1 delfin.

Brak herbu nie przekreśla jednak szans na awans społeczny. Zupełnie wystarczy bowiem oświadczenie, że dziadek robił za stajennego — pod warunkiem, że był to ten stajenny, który doglądał Kasztanki.

Kierunek poszukiwania korzeni zależy od wyboru miejsca zamieszkania. Ci, którzy nie zamierzają czekać aż zbiorowo dołączymy do Europy, poszukiwania rozpoczynają w archiwach państwowych. Tutaj, po spędzeniu kilku dni w kolejce, należy sprawdzić, czy przodek należy do zadbał o przyszłość potomka, w odpowiednim momencie podpisując volksliste. Jeśli dziadek okazał się facetem bez wyobraźni, o stosowne dowody trzeba postarać się samemu. W tym celu najlepiej pojechać do Opolia, gdzie na bazarze bez trudu można kupić wszystkie wymagane papiery: ausweis in blanco,

Korzonki

książeczkę pracy oraz fotografię z pogrzebu żołnierza Wehrmachtu — nie wykluczone, że stryja. Cały komplet kosztuje 200 DM. Dla zupełnej pewności warto też nabyć żelazny krzyż lub medal Kriegsmarine z legitymacją (50 DM).

Ten natomiast, kto wiąże swą karierę z nową Rzeczpospolitą, starania o dobre korzenie powinien rozpocząć w USC, czym prędzej składając wniosek o zmianę nazwiska. Nazwiska osobników, którzy przed wojną chodzili wyłącznie w nagonkach, należy obecnie zmienić na takie, których właściciele brali czynny udział w polowaniach dworskich. W 1990 roku preferowane są nazwiska dwuczłonowe typu Korwin-Mikke lub Ostoja-Owsiany, ale, broń Boże, nie Rola-Zymierski.

Następnie prawidłowe pochodzenie trzeba bogato udokumentować. Zadanie to śmiało można zlecić bibliotekarzom MBP im. Łopacińskiego w Lublinie, którzy, za drobną opłatą, odgrzebią korzenie każdego rodu, do śledzimu pokoleń wstecz. Ponieważ żywi posiadacze błękitnej krwi występują obecnie w ilościach śladowych, bez zbytecznego ryzyka demaskacji można wpisać się do dowolnej arystokratycznej, z wyjątkiem Zamojskich, Lubomirskich i Tyszkiewiczów, którzy jakimś cudem przetrwali okres sprawiedliwości społecznej.

Teraz, ze szkiecem drzewa genealogicznego, należy udać się do plastyka malującego herby. Kontakt z artystą otworzy lektura „Życia Warszawy” — rubryka „ogłoszenia drobne”. Malowany herb na płótnie kosztuje ok. 0,5 mln zł, znacznie droższy jest natomiast herb kuty w metalu, który chętnie wykona kumpel plastyka, zatrudniony w „Hucie Warszawa”. Podczas malo-

wania lub kucia warto dopilnować, by artysta czerpał wzór z „Herbów szlachty polskiej” Leszczyca, bądź z „Herbów rycerstwa polskiego” Paprockiego. Może się bowiem zdarzyć, że mistrz będzie miał pod ręką wyłącznie pozycję wydawniczą pt. „Libergenerationis plebeanorum” i w ten sposób wylądujemy wśród chamów podszywających się pod szlachtę.

Niezbędnym dodatkiem do herbu jest portret co najmniej jednego przodka, nabyty w Desie. Obok portretu powinny zawisnąć szabla i pistolet powstańczy, a jeśli ściana w M-3 jest dłuższa, także odznaczenia bojowe i guzik od munduru dziadka. Koszt pełnego oprzyrządowania — minimum 7—9 mln zł.

Po obstalowaniu sygnetu z herbem rodowym (2—4 mln zł), można już złożyć deklarację przyjęcia do Związku Ziemian lub Klubu Monarchistów. Nie warto natomiast ubiegać się o członkostwo Kawalerów Maltańskich, którzy nie dość, że skrupulatnie sprawdzają szlacheckie metryki pięciu przodków po mieczu i kądzieli, to jeszcze żądają corocznej składki — 50 dolarów.

Przed udaniem się na sejmik lub zajazd warto jeszcze posiadać trudną umiejętność korzystania z noża i widelca oraz przywyknąć do picia kawy nie ze szklanki. Tych karkołomnych wyczynów, na przyspieszonych kursach (ok. 200 tys. zł), nauczą specjalne agencje dobrych manier, licznie ogłaszające się w codziennej prasie. Tam też kursant zostanie poinformowany, że szlachectwo zobowiązuje do wycierania nosa w chusteczkę, czyszczenia butów i używania mydła — co dla nowego arystokraty może być szczególnie przykre.

ROMAN KUBIAK

Jet AIR TRAVEL

PODRÓŻE LOTNICZE

P R O P O N U J E M Y

PRZELOTY RENOMOWANYMI LINIAMI LOTNICZYMI:

BRITISH AIRWAYS, KLM, PAN AM, AMERICAN AIRLINES, LOT, JAT

NOWY JORK	— 6 500 000
CHICAGO	— 6 950 000
LOS ANGELES	— 3 200 000
TORONTO	— 6 960 000
LONDYN	— 2 570 000
PARYŻ	— 2 580 000
FRANKFURT	— 1 970 000
SYDNEY	— 16 200 000

oraz wiele innych

AUTOBUSEM DO LONDYNU

1 650 000 w obie strony!!!

MERCEDES 03028, WC, KLIMATYZACJA, ROZKŁADANE SIEDZENIA,

ZIMNE NAPÓJE

UWAGA: bilet ważny przez pół roku!!!

ZAPRASZAMY 9—17.

tel. 36-63-20

tlx 88-56-53 jet pl

fax (042) 36 63 20

Jak można scharakteryzować obecną sytuację polityczną? Czy to nowy kryzys?

— Raczej stan zawieszenia. Nowa sytuacja polityczna dopiero się rodzi. Zaczęło się od podziału w OKP, gdzie mimo prób utrzymania jedności, górę wzięły temperamenty i interesy różnych grup. Następnie wyszło to poza parlament. Ale nowy układ polityczny tworzy się dość opornie. Scena polityczna nie jest jeszcze pełna. Ten nowy układ polityczny charakteryzuje odchylenie od jedności.

— Czy to niesie z sobą jakieś zagrożenia?

— Zagrożenie wynika z tego, że kryzys widać w życiu społecznym, gdzie dominuje apatia, zniechęcenie. Ludzie, gdy zaczynają o coś walczyć, gotowi są na daleko idące poświęcenia. Ale w głębi duszy ciągle mają nadzieję, że stanie się cud i od razu

się poruszać. Jeśli mimo to mam pretensje, to dlatego, że Rada Miejska nie postawiła sobie dotąd ani jednego konkretnego zadania. Na przykład: zaprowadzenie czystości w mieście albo przedłużenie czasu pracy sklepów na ulicy Piotrkowskiej, albo zorganizowanie wielkiej imprezy kulturalnej.

— To wydaje się takie proste, dlaczego zatem nie można było tak właśnie postąpić?

— Bo zamiast mówić o sprawach ważnych dla Iodzian, uwikłaliśmy się w personalia. I ciągle tkwimy z rękoma w tym cieście, jako że spór został nam narzucony przez tych, którzy ogłosili, że „przejmują władzę”.

— Czy ROAD, który powstaje też w Łodzi, ma zamiar odnieść się do spraw miasta?

czególne grupy ruch społeczny, natomiast robotnicy — przede wszystkim jako związek zawodowy. Skoro w tym ruchu, który inteligencji był bliski, zaczęły się spory w gruncie rzeczy jej obce, to ona odsunęła się od tego ruchu i teraz, gdy powstał ROAD, szuka w nim formy samookreślenia się i działania. Na jednym z zebrań ludzie tak się zagalopowali, że chcieli natychmiast wybierać prezydenta.

— Kandydat był?

— Nie. Ale była chęć, aby zacząć coś robić natychmiast, zaraz, bez czekania. Stąd wniosek, że członkowie ROAD w Łodzi będą musieli się odnieść również, a może nawet w pierwszej kolejności, do spraw miasta. Poza tym, jeśli członkowie ROAD będą chcieli kandydować do parlamentu — a będą chcieli — to muszą mieć taki program, aby ich poparło nie 33 procent wyborców, bo to byłaby ponowna kompromitacja. Ten program musi porwać ludzi, zmusić do tego, aby poszli na ten program głosować.

Warto wszakże zdać sobie sprawę, że zanim powstanie program potrzebna jest wcześniej dokładna analiza otaczającej nas rzeczywistości. Przyspieszone wybory samorządowe nie dają szansy jej przeprowadzenia. Poza tym zasadą było, by do samorządu weszli ludzie, którzy do tej pory nie mieli nic wspólnego z władzą. Skoro tak, to można podejrzewać, że wszyscy nie wiedzieliśmy, co tak naprawdę dzieje się w Łodzi.

— Mogła to być w najlepszym wypadku wiedza wycinkowa.

— Tak. Bądź dla odmiany — bardzo ogólna. Tak czy owak w kręgi władzy weszli ludzie, którzy nie są zupełnymi laikami, ale nie do końca zdawali sobie sprawę, jakie zagrożenia niesie samo sprawowanie władzy. W WKO być może lepiej wiadano, jak należy wykluczyć pewne niebezpieczne mechanizmy. W EPO raczej ich nie znano i chyba się nawet nad tym nie zastanawiano. Stąd przejmując władzę, przejęto także coś ze starego stylu. Przecież nomenklatura — to nie tylko rządy czerwonych, ale sposób obsadzania stanowisk. Mogą to być tylko kuzyni albo tylko siostry i tak dalej. I do tego dochodzi, jeśli niemal wykluczyło się konkursy, o które WKO zabiegał. Wprawdzie jeden czy dwa przeprowadzono, ale na tym poprzestano i teraz — jako radna — dowiaduję się z własnej gazety — którą kieruję — że znów mianowano nowego dyrektora wydziału. Przecież to jest nienormalne, ale tak jest.

— Czy dlatego, że takie błędy już popełniono, ROAD jest programowo przeciw przyspieszaniu?

— Można to i tak ująć. W Łodzi powołujemy różne zespoły. Obok komisji organizacyjnej — gospodarczą, społeczną, polityczną, informacyjną. Dopiero ich doświadczenia, wsparte ustaleniami zespołu analiz, złożą się na spójny i — mam nadzieję — realny program. Trzeba bowiem przede wszystkim wiedzieć dlaczego jest źle. I na podstawie tej wiedzy można dopiero zająć stanowisko. Klasycznym przykładem działań nerwowych jest sprawa wysypiska śmieci w okolicach Łodzi. Wiemy, że jest źle...

— I to nie od wczoraj.

— I tak się dzieje nadal. I co z tego wynika, że wszyscy o tym wiemy? Nic. Być może nie przeprowadzono dokładnych analiz, nie zapoznano się z wzorami innych rozwiązań, być może nie ma powodów obrażać się na ludzi, którzy nie chcą łódzkich śmieci, bo im trują środowisko. Mówię: być może, bo jako radna tego nie wiem. Wiem natomiast, że w Łodzi jest bardzo dużo spraw do załatwienia, do rozwiązania i nie da się wszystkiego zrobić naraz i od jutra. Dlatego potrzeba ustalenia hierarchii tych spraw. A to wymaga uprzedniej analizy. Wymaga też rozłożenia tych spraw na określony czas, co zrobimy w ciągu miesiąca.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Nie zostać z rękoma w cieście

Rozmowa z IWONĄ ŚLEDZIŃSKĄ-KATARASIŃSKĄ — pełnomocnikiem ROAD w Łodzi, radną łódzkiej Rady Miejskiej, redaktorem naczelnym „Gazety Łódzkiej”.

wszystko będzie lepiej. Gdy oczekiwanego cudu nie widać, zaczynają się frustrować. I wtedy wystarczy jakiś drobniaczek, aby ruszyła lawina.

— Skoro istnieje świadomość takiego zagrożenia, to jak temu można przeciwdziałać?

— Nie schlebiać takim nastrojom. Wszelkiego rodzaju populizm jest — w moim przekonaniu — kryzysogenny. Zatem nie powinno się obiecywać ludziom tego, czego nie można spełnić. Trzeba umieć ludzi słuchać i umieć im tłumaczyć, że nikt ich nie oszukuje, bo nie obiecuje i nie obiecywał im, iż od jutra zniknie wszystko co złe.

— Odnosi się to również do sytuacji, jaką mamy w Łodzi.

— Bo w Łodzi brakuje prawdziwych przywódców elit. Są ludzie, którzy cieszą się zaufaniem różnych środowisk, ale to trochę mało, aby wywołać niezbędny ferment intelektualny. Bez tego fermentu nie ma dyskusji. Są klótnie. I powstaje reakcja na taki stan rzeczy: niech „oni” się pozabijają, a „my” poczekamy!

— Na dodatek „oni” do niedawna byli „naszymi”.

— Tak. Wyraźnie widać, jak część społeczeństwa separuje się od władzy i ciągle czeka, że władza za nich wszystko zrobi. A władza w Łodzi ciągle się jeszcze organizuje. I zajęta własnymi sprawami ciągle nie może sprawić tego, na co ludzie czekają, że zmieni się sposób handlowania, urzędowania, obsługiwanie ich przez służby miejskie.

— I to mówi radna?

— Tak. To mówi radna. Gdybym nie miała nietypowego charakteru, to też już — jako radna — byłabym zniechęcona i miałabym wszystkiego dosyć.

— Dlaczego?

— Bo mnie jako radnej życie miasta jakoś przecieka między palcami. Ciągle mam wrażenie, że władza miejska nie ma planu ani programu. Może to tylko takie wrażenie, bo jestem radną z tzw. opozycji. Radni z WKO zostali odsunięci od decyzji i być może nie wiemy, co się dzieje i stąd nasza frustracja. Być może 50 radnych z EPO ma lepsze samopoczucie.

— Być może jeszcze za wcześnie na poniesienie, które przyniosłyby oczekiwane zmiany?

— Nie wątpię, że samorząd boryka się z obiektywnymi trudnościami, ciągle nie wie, jaką ma władzę, jakim dysponuje majątkiem, nie wie wielu innych rzeczy. Samorząd wszedł na ugor, po którym trudno

— ROAD powstaje w Łodzi bez fanfar i wielkiej reklamy a mimo to budzi żywe i znaczne zainteresowanie. I to już zmusza nas do tego, aby odnieść się do spraw miasta.

— Kto do ROAD przychodzi?

— Przede wszystkim ci, którzy odwołują się do bardzo monopolistycznego układu na siłę w Łodzi wprowadzonego. Na siłę, bo tak elegancznie nazwałabym system socjotechnik użytych w kampanii wyborczej do samorządu. Jacy to są ludzie? Bez wątplenia inteligencja. Jest wielu lekarzy, inżynierów.

— Porozumienie Centrum zarzuca ROAD, że jest ruchem inteligentnym, co ma być cechą ujemną.

— Gdybym organizowała w Łodzi partię albo ruch mówiąc, że od jutra będzie lepiej, wszystko się zmieni, wywalimy ten „podły” rząd, powiesimy Balcerowicza, Jaruzelskiego damy na stos, a nasz ukochany Lech zostanie prezydentem i wszystko będzie pięknie, to miałabym pewnie tłumy chętnych. Ale ROAD nie powstaje z takich intencji. Gdy urodzi się jego program, to nie będzie on ani łatwy, lekki i przyjemny, bo nie może taki być. Chcemy coś zmienić, ale nie chcemy niczego obiecywać na wyrost.

Dlatego do ROAD przychodzi przede wszystkim inteligencja? Być może dlatego, że gdy nie ma hasel populistycznych gdy nie gra się na emocjach, to w pierwszym rzucie przychodzi do takiego ruchu właśnie inteligencja. Poza tym trzeba pamiętać że w Łodzi w czasie kampanii wyborczej do samorządu EPO traktowało jako zarzut fakt, że WKO chce umieszczać na listach wyborczych fachowców. Niezależnie od kryteriów EPO. Oni jednak w Łodzi są i chcą działać. Jeśli nie mogą w Radzie Miejskiej, to teraz szukają dla siebie pola działania w ROAD.

— A robotnicy? Czy na robotników nie liczyć?

— Przeciwnie, liczymy. Rowy i przepaście między poszczególnymi grupami społecznymi kopano w przeszłości i my ich pogłębiać nie mamy zamiaru. Nie chcemy wracać do koncepcji społeczeństwa klasowego. Nie chcemy pozwolić, aby wbijano kliny pomiędzy inteligencję i robotników. Najlepszy dowód, że przywódcami ROAD są działacze robotniczy Zbigniew Bujak i Władysław Frasnikiuk.

Istnieje jednak coś takiego, jak różny stosunek obu grup społecznych do „Solidarności”. Zwłaszcza w Łodzi. Inteligencja ciągle widzi „Solidarność” jako jednoczący posz-

Nie zostać z rękoma w cieście

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

ca, kwartału, pół roku, a co później, z czego trzeba na razie zrezygnować i dlaczego. I teraz widać, dlaczego ROAD nie lubi przyspieszenia, bo ono ogranicza się do zmiany ludzi, do hasła, a to do niczego nie prowadzi.

— W walce z ROAD przeciwnicy posługują się różnymi etykietami, najchętniej mówi się o ROAD, że jest lewicą. Czy wam to nie przeszkadza?

— Nie przeszkadza, choć mamy pretensje o etykietowanie jako formę dyskredytacji, bo jest to po prostu nieuczciwe. To przecież w Łodzi narodził się termin „katolewica”.

— Co to takiego?

— Wypadałoby zapytać autora. Jeśli dobrze rozumiem, mają to być nibykatolicy, którzy są w rzeczywistości lewicą. Ten „dziwoląg” przypisano całemu kręgowi ludzi związanych na przykład z „Tygodnikiem Powszechnym”. Robią to osoby, które rok, dwa, pięć, dziesięć lat temu mówiły, że są wychowankami tego pisma. Coś, tu nie tak. Etykiety stają się więc epitetami, sposobem, aby komuś „dokopać”, „dolożyć”. Jest to objaw braku kultury politycznej. W takiej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak robić swoje.

— Czy ROAD to ruch, czy partia?

— Teraz ruch. W wewnętrznych dyskusjach obawialiśmy się, że słowo: partia — może nie budzić zainteresowania. Poza tym partia, gdy już występuje na arenie politycznej, musi mieć konkretny i szczegółowy program. Przeprowadziłam w Łodzi miniankię i 90 procent członków czy sympatyków powiedziało, że wstępując do ROAD liczy się z tym, że ten ruch przekształci się w partię. Mam jednak nadzieję, że będzie to partia nowoczesna, która nie będzie się odwoływała do nlekiedy pięknych, a niekiedy dyskusyjnych symboli dwudziestolecia międzywojennego, które jednak nie mają żadnego odniesienia do współczesności, ani

też nie wspólnego z zachodnimi partiami końca XX wieku. Myślę również, że w Polsce wykształci się w przyszłości system dwupartyjny, w którym dwa silne ugrupowania będą wchodziły w różne koalicje z innymi partiami. Poza tym — jeśli rozumieć oczekiwania — ludzie oczekują partii bardziej pragmatycznej niż ideologicznej.

— Porozumienie Centrum określa się chętnie jako ugrupowanie pragmatyczne. Wam natomiast zarzuca charakter ideologicznego ugrupowania.

— Ja bym powiedziała, że są to pragmatycy, u których cel uświęca środki. Zarzucany nam charakter ideowości może okazać się komplementem. Ideowości się nie wypieram. Jeśli mówiłam o pragmatyzmie, to odnosiłam to do wzorów amerykańskich. Sądzę, że ukształtują się dwie partie: jedna wokół Porozumienia Centrum, druga wokół ROAD.

— Przeczytałam w gazecie, że ROAD w Łodzi liczy 121 członków.

— To tylko na ostatnim zebraniu było 121 członków. Deklarację założycielską podpisało 350 osób. Ale to też nie jest precyzyjne określenie liczby członków ROAD w Łodzi. W rejestrze osób, które już zdążyły zapłacić składki jest chyba od 150 do 170 osób. Wielu pyta, ale jeszcze czeka. Czekają na bardziej wyrazisty program.

— Na kogo liczyć?

— Przede wszystkim liczymy, że sytuacja zmieni się we wrześniu, bo ludzie powracają z urlopów i wakacji. Liczymy na studentów, którzy w październiku zjadą do Łodzi. Liczymy w ogóle na młodych, bo ich to powinno przede wszystkim zainteresować.

— Czy jesteście otwarci na wszystkich?

— Właściwie tak. Ale jesteśmy zamknięci dla członków innych partii i ruchów politycznych. Zdarza się, że przychodzą do nas byli członkowie PZPR. Dostają materiały, informacje i muszą zdecydować w swoim sumieniu, co z sobą począć.

— Aleksander Labuda powiedział, że kto był członkiem PZPR po 13 grudnia 1981 roku, ten nie powinien być w ROAD, bo byłby krzywoprzysięzca.

— Nie jest to postanowienie zawarte w dokumentach. Uznaliśmy, że nie interesuje nas to, kto co robił do 13 grudnia 1981 roku — pod warunkiem, że nie zachował się niechlubnie. Natomiast powinni zmusić się do refleksji ludzie, którzy pozostali w PZPR po tym terminie. Wydaje mi się, że 13 grudnia 1981 roku był już ostatnim dzwonkiem alarmowym dla ludzi chcących zachować

twarz. Ale znam też wiele osób, które nigdy nie były w PZPR, a nie bardzo bym ich widziała w ROAD. Jak zawsze — trzeba patrzeć indywidualnie.

— Jak się ROAD ma do WKO?

— Organizacyjnie nijak. To tylko kilka osób, które są i tu, i tu. Do ROAD wstępuje się indywidualnie, choć — tu ciekawostka — mamy wiele małżeństw. Uważam, że ROAD i WKO nie będą sobie przeszkadzały, bo każdy ma inną rolę do spełnienia. Rolą WKO jest organizacja życia lokalnego. Powinno to być zaplecze dla Rady Miejskiej. Na Balutach, na Polesiu, w Śródmieściu jest wiele do zrobienia i WKO musi pomóc swoim radnym. Miasto bez struktury komitetów obywatelskich byłoby uboższe. Przecież 80 radnych wszystkiemu nie podlega.

— Jaka rola przypadnie zatem ROAD?

— O losach miasta nie powinny decydować partie polityczne. Poza tym nie powtórzy się już sytuacja z czerwca 1989 roku i nie będzie fotografii z Przewodniczącym, ani wspólnej reprezentacji do parlamentu. Poszczególne partie będą musiały zatem troszczyć się o kampanie wyborcze swoich kandydatów. I taka rola przypadnie ROAD. Co nie znaczy, że ROAD nie może być sojusznikiem WKO i wspierać go w sprawach działań na rzecz miasta. ROAD może oceniać wiele zjawisk, które mają miejsce w Łodzi, zjawisk z pogranicza polityki i gospodarki. Na przykład problemy polityki miasta wobec przemysłu lekkiego.

— Niektórzy utrzymują, że powstanie Porozumienia Centrum i ROAD jest klęską komitetów obywatelskich.

— Nie podzielam tego poglądu. Uważam, że im jest więcej organizacji, tym powstaje więcej szans dla poderwania ludzi do działania. Jak już wspomniałam, teraz nie będzie wspólnych zdjęć z Przewodniczącym. Mniej ważne powinno być, kto na kogo będzie głosował, bo to będą wolne wybory, ale ważne będzie, aby każdy do tych wyborów poszedł. A zachęcić do tego mogą tylko komitety obywatelskie. I żeby — mój Boże — Lech Wałęsa nie musiał wydawać dekretu o obowiązkowych i przymusowych wyborach, bo byłaby to już największa kompromitacja dla ponoć rodzącej się u nas demokracji.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

POWSZECHNA KASA OSZCZĘDNOŚCI
BANK PAŃSTWOWY

Z A P R A S Z A

Mieszkańców Retkini

DO NOWEJ EKSPozyTURy PKO
ul. J. Marchlewskiego 46

czynnej od godziny 8 do 18.

„D E M P S E Y”

Sp. z o.o.

- ▶ USŁUGI DETEKTYWISTYCZNE
- ▶ OCHRONA OSÓB i MIENIA
- ▶ DOZORY, KONWOJE, INKASO
- ▶ WŁASNY TRANSPORT

ZAWISZY CZARNEGO 8/10,
pok. 131—133
tel. 57-98-16; 57-76-40 w. 128
w godz. 10—15
34-84-57 po godz. 20

Instrukcja w sprawie religii jest nie dopracowana

Publiczna debata na temat przywrócenia religii w szkołach, która ożywiła nasze czasopisma przed tegorocznymi wakacjami, zakończyła się jednoznacznie, choć wobec tak skomplikowanej materii, dość szybkim wnioskiem. Oto 27 czerwca br. Komisja Wspólna przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Konferencji Episkopatu Polski stanęła na stanowisku, jak głosi komunikat PAP, że „katechizacja dzieci i młodzieży niesie ze sobą podstawowe wartości etyczne i moralne w procesie wychowania. Z tego powodu uznano za niezbędne, aby państwowe placówki oświatowe zapewniły możliwość pobierania nauki religii przez wszystkich uczniów, których rodzice wyrażają takie życzenie”.

Wydana w ślad za tym „Instrukcja dotycząca powrotu nauczania religii do szkoły w roku szkolnym 1990/91” rozszerza lakoniczny zapis agencyjny i szczegółowo precyzuje zasady, na jakich ma się odbywać restytucja religii w szkolnictwie państwowym. Jednocześnie, mimo mocy wiążącej tego dokumentu dla placówek podległych Ministerstwu Edukacji Narodowej (Instrukcja nosi datę 2 sierpnia br.), spór nie został bynajmniej zakończony i przenosił się z lamów prasowych do najwyższej instancji sądowej Rzeczypospolitej. Wydany przez prof. Ewę Łętowską komunikat w tej sprawie głosi:

„Rzecznik Praw Obywatelskich złożył wniosek do Trybunału Konstytucyjnego dotyczący zgodności instrukcji MEN w sprawie powrotu nauczania religii do szkół z ustawą o systemie oświaty i wychowania z 1981 r. stanowiącą, że nauczanie w szkołach państwowych ma charakter świecki. Ustawą o stosunku państwa do Kościoła katolickiego przewidującą nauczanie religii poza szkołą oraz ustawą o gwarancjach wolności sumienia i wyznania przewidującą równe uprawnienia do religijnego wychowania dzieci niezależnie od wyznania i „zachowania milczenia w sprawach swojej religii”. Celem wniosku jest zakwestionowanie sposobu wprowadzenia dobrowolnego nauczania religii w szkołach państwowych instrukcją, wyraźnie sprzeczną z przepisami obowiązujących ustaw, a tym samym wyeliminowanie Parlamentu, który jako jedyny jest władny do rozstrzygnięcia sprawy dobrowolnego nauczania religii w szkołach państwowych (...). Wniosek bynajmniej nie jest głosem przeciw nauczaniu religii, lecz tylko i wyłącznie wyrazem wątpliwości, co do metody wprowadzenia tego przedmiotu aktem prawa powielaczowego, sprzecznym z obowiązującymi ustawami, a przez to z pominięciem Parlamentu.

Rzecznik wyraża nadzieję, że nie będą jej przypisane intencje, jakich nie ma i twierdzenia, jakich nie wyraziła”.

Instrukcją, wbrew jej intencjom, stawiającej w uprzywilejowanej pozycji Kościoła katolickiego, nie mogła pominać milczeniem Polska Rada Ekumeniczna, międzywyznaniowa organizacja religijna, której przedstawiciele dowiedzieli się o tym dokumencie z prasy. Wydany przez nią komunikat głosi:

„Zwierzchnicy Kościołów wyrazili żal, że ministerstwo opracowało instrukcję dotyczącą wprowadzenia religii w szkołach wspólnie z Kościołem rzymskokatolickim nie zapraszając do prac nad tym dokumentem Kościołów Polskiej Rady Ekumenicznej”.

Swoje zastrzeżenia oświadczył również Centralny Komitet Wykonawczy Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej oraz Polskie Stowarzyszenie Wolnościowców im. K. Łyszczyńskiego i Klub Polityczny „Wolność Sumienia”. Wątpliwości zgłaszają także niektórzy rodzice, deklarujący się jako katolicy, a i w środowisku nauczycielskim nie ma na ten temat jednoznacznej opinii. Dyrektorzy szkół dowiedzieli się o instrukcji z prasy, podobnie zresztą jak kuratoria, do których dokument MEN dotarł późno, niemal przed pierwszym lekcyjnym dzwonkiem.

Jak się wydaje, problem artykułowany

najczęściej jako spór o metodę, czemu dała publiczny wyraz pani Rzecznik Praw Obywatelskich, jest zarazem sporem o zasadę. Niektórzy, choć nie są to głosy wypowiedziane jawnie, posuwają się nawet tak daleko, że oskarżają Kościół rzymskokatolicki o dominację i powrót do średniowiecznej zasady: „quius regio, eius religio”.

Tymczasem „Instrukcja”, choć nosząca znamiona pośpiechu, i przez to nie dopracowana, co jest zgorą nawet aktów ustawodawczych ogłaszanych w ostatnim czasie, deklaruje poszanowanie przekonań. Katechizacja ma być prowadzona „w atmosferze to-

lerancji. Wreszcie i kadra katechetów może nie sprostać pokładanym w niej nadziejom. Wprawdzie w myśl instrukcji „katechetą szkolnym może zostać wyłącznie osoba, która otrzymała skierowanie do określonej szkoły od biskupa diecezji”, ale została tu pozostawiona furtka dla osób nie posiadających pełnych kwalifikacji. Przypomina to krytykowaną powszechnie, a tak dobrze nam znaną z młodych lat Peerelu zasadę „nie matura, lecz chęć szczerą”. Nawet jeśli uznać to za stan przejściowy, podyktowany życiową koniecznością, przyjmowanie do szkół osób bez pełnych kwalifikacji, odbiera placówkom wychowawczym część, z takim trudem zdobywanego, prestiżu, a i jakość samej katechezy stawia pod znakiem zapytania. Są to, chce się wierzyć, kłopoty epizodyczne.

Zdaniem pani Barbary Płociennik, dyrektorki Szkoły Podstawowej nr 1 w Łodzi w klasach młodszych na religię będzie uczęszczać co najmniej 90 proc. młodzieży, w klasach starszych proporcje te będą się kształtować podobnie. Może dać o sobie znać problem jehowitów, bo niektórzy uczniowie podają się za Świadków Jehowy. Niewierzący są zarówno wśród uczniów, jak i wśród pedagogów. Zorganizowanie zajęć dla tej młodzieży będzie dla szkoły dużym utrudnieniem: nauczanie etyki ma sens w klasie VII czy VIII, choć z drugiej strony jest to rozważanie teoretyczne, bo kto tej etyki ma nauczać. Praktycznie dzieci nie biorące udziału w zajęciach religijnych będą prawdopodobnie udawały się do świetlicy. Dyrektor Barbara Płociennik zdaje sobie sprawę, że uniknięcie konfliktu światopoglądowego zależne będzie od kultury nauczycieli, katechetów, rodziców, a także od ich poziomu moralnego. Wierzy jednak, że jej szkoła podda temu zadaniu.

Znacznie trudniejsze zadania stoją przed placówkami przedszkolnymi. Tutaj zachowanie prywatności w sprawach wiary będzie prawie niemożliwe, inność dzieci, nie biorących udziału w praktykach religijnych będzie co najmniej dziwić ich rówieśników, bo mam nadzieję, że wrogości mimo wszystko uda się uniknąć. Tymczasem „Instrukcja” daje na temat wychowania religijnego w przedszkolu stosunkowo najmniej wskazówek. Ministerstwo Edukacji Narodowej wyszło widocznie z przekonania, że sprawy rozwiążą się same. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że „Instrukcja” została opracowana w nadmiernym pośpiechu.

Jest wreszcie jeszcze jeden aspekt sprawy, niechętnie podnoszony w dyskusjach, aspekt ekonomiczny. Jak poinformował na łamach „Dziennika Łódzkiego” wizytator diecezjalny ks. Józef Fijałkowski w skali diecezji łódzkiej potrzeba około 1100 nauczycieli religii. Spora część tej kadry będą stanowili księża — w myśl instrukcji nie przysługuje im wynagrodzenie. Podyktowane jest to stanem finansów państwa. Jednakże zarówno siostrzom zakonnym, jak i katechetkom świeckim szkolnictwo musi płacić zgodnie z nauczycielską siatką płac, a do stażu pracy zaliczane będą lata pracowane w katechizacji parafialnej. Są to tylko w skali diecezji wydatki miliardowe, obciążające budżet, którego kondycja nie jest najlepsza.

Zresztą nie aspekt ekonomiczny jest w tej sprawie najważniejszy. Szkoła polska stanie przed znacznie trudniejszym wyzwaniem: jak uniknąć konfliktów sumienia, a przede wszystkim nie dopuścić do zbudzenia się upiórów przeszłości. Duch tolerancji, który przyświeca poczynaniom elity Kościoła, może zagasnąć w zderzeniu z brutalną praktyką, kiedy tak delikatny instrument jak nauczanie religii dostanie się w niepowołane ręce. Nie wątpię, że Kościół będzie z całą mocą swego autorytetu reagował na wszelkie niepokojące sygnały łamania zasad ekumenizmu i że miłość bliźniego, stanowiąca podwaliny etyki chrześcijańskiej, stanie się regułą postępowania. Nie odbędzie się to jednak zapewne bezboleśnie.

Egzamin z miłości bliźniego



3892-A

KONRAD FREJDLICH

lerancji wykluczającej wszelkie przejawy dyskryminacji religijnej — w duchu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Dlatego zarówno uczniów uczęszczających na katechizację, jak i tych, którzy z niej nie korzystają, nie może spotkać z tego powodu jakakolwiek przykrość ze strony pracowników szkoły. Należy także usilnie dążyć do ukształtowania atmosfery tolerancji wśród uczniów i rodziców”.

Tę atmosferę tolerancji stosunkowo najłatwiej będzie osiągnąć w szkołach średnich, do których uczęszcza młodzież o ukształtowanym i często samodzielnym światopoglądzie. W tych szkołach religię prowadzi będą księża, których poziom w Polsce jest generalnie bardzo wysoki. Radziław Olbrychowski, dyrektor III LO im. Tadeusza Kościuszki w Łodzi, ujął to krótko:

— Kościół się bardzo angażuje, ale podchodzi do tego subtelnie, nie na żywioł.

Szkoła jest przygotowana do współpracy z Kościołem, zarówno organizacyjnie, jak i psychologicznie, utrzymywała bowiem kontakty z sąsiednimi parafiami nawet w latach oficjalnej izolacji. To przecież nie przypadek, że chór szkolny „Con Fuoco”, reprezentujący bardzo wysoki poziom artystyczny, został zaproszony w 1986 r. do Castel Gandolfo i wykonał dla Ojca Świętego cztery pieśni, występował prócz tego na koncertach w Wenecji, Arezzo, Padwie i Watykanie. Dyrektor Olbrychowski nie boi się także w klasach krzyża:

— Jeśli na tablicy TPPR całymi latami wisiał sierp i młot, i nikomu to nie przeszkadzało, to i krzyż nie będzie nikomu wadził, znajdzie należyte poszanowanie.

W stanie wojennym „Trójka” przyjęła do siebie chłopca relegowanego z XII LO za zawieszenie w klasie krzyża. Olbrychowski przyjął go na własną odpowiedzialność, widział problem człowieka, nie sprawę polityczną. Uczeń ten skończył już szkołę, a nawet studia. Było to pouczające doświadczenie.

Trudniej o szacunek dla innych przekonań będzie w szkołach podstawowych, z reguły dwuzmianowych. Już choćby z tych względów niemożliwe będzie przestrzeganie zasady, że religia odbywać się będzie na pierwszych albo ostatnich lekcjach, a tylko w tych warunkach można by spełnić wymogi państwa demokratycznego o prawie każdego obywatela do nieujawniania swolch przekonań religijnych. Niedojrzałość mło-

1990
mi
19 L
maj w

Pomarańczowa Alternatywa, to ruch nieformalny, który gromadzi wokół swych działań tysiące ludzi, ożywia — w czasie własnych happeningów — szare i smutne ulice; który tworzy tradycję fiest ulicznych w Polsce, który pomieszał w głowach służbom bezpieczeństwa i całemu MSW do tego stopnia, że aresztowali masowo krasnoludki i św. Mikołajów i uganiali się za powiewającym na wietrze papierem toaletowym (coż to była za wdzięczna rola dla tajniaków z SB). Ruch stał się niezwykłym zjawiskiem socjologicznym, obyczajowym i artystycznym, kojarzonym — obok Wałęsy i „Solidarności” — na Zachodzie z współczesną Polską, którym zainteresowały się tak ważne i poważne pisma, jak m.in. „New York Times”, „Paris Match” i „Liberation”. Ruch, który wniósł nowe wartości do kultury nie tylko polskiej, ale i europejskiej.

Wszystko zaczęło się w listopadzie 1981 r., w czasie strajków studenckich. Autorstwo ruchu jest trudne do ustalenia, bo jest to bękarcie dziecko systemu socjalistycznego i strajku, tzn. socjalizm został zgwałcony przez studentów. Druga faza, to była eksplozja poprzedzona happeningiem „Marsz z garnkami” 1 kwietnia 87 i rozpoczął się okres, który można nazwać okresem klasyki PA, a więc krasnoludki tańczące na dachach nyssek milicyjnych, św. Mikołaje; SB łapiąca papier toaletowy i inne śmieszne historie. Potem był regres, w 89 r. nie było praktycznie żadnego nowego zdarzenia artystycznego, a teraz zaczyna się trzecia faza.

Pomarańczowa to nie tylko happeningi. To także grafika, wydawanie pism „Wolny Wrocław” i „Prolet”, film, muzyka i — ostatnio — etiudy wzorowane na estetyce średniowiecznych teatrów ulicznych oraz działania sceniczne.

— Jest to ruch zabawowy, ale nie tylko. Jeżeli analizuje się efekty socjologiczne działań PA, to najlepiej oddaje zabawowość tego ruchu stwierdzenie dziennikarza amerykańskiego — i to poważnego — że Solżenicyn ukazał istotę systemu komunistycznego z moralnego punktu widzenia, Kołakowski z filozoficznego, a Pomarańczowa Alternatywa z estetycznego. Młodość występować w takim towarzystwie. Po tym, jak realna SB realnego kraju aresztuje u-realnione krasnoludki, jest to świadectwo kondycji i miejsca człowieka w takim systemie — i jest to najbardziej spektakularny, społeczny aspekt PA. Jest to zabawa, ale zabawa z efektami społeczno-artystycznymi — mówi Krzysztof Albin, rzecznik Pomarańczowej.

Nie wszyscy jednak rozumieją zasady czy idee PA jednakowo. Znow Krzysztof Albin:

— Pierwszy Dzień Wiosny, to jest dzień uśmiechu i radości. We Wrocławiu kilkanaście tysięcy ludzi śpiewało i tańczyło na ulicach. Natomiast to, co się działo w Warszawie nie ma nie wspólnego z PA ani z ideą tego ruchu. Jak ci chłopcy robią to, co robią, to niech nazwą swój ruch „Brunatnym Kamie-

niem”, gdyż faszyzm był ruchem o tym właśnie kolorze. Mówię o tych, którzy rzucali kamieniami. Nas w życiu interesuje uśmiech, a nie rzucanie kamieniami. Ja za ten uśmiech siedziałem w więzieniu, a ci ludzie z Warszawy za rzucanie kamieniami dostali kilka razy pałką w dupę. Moi kumple z Pomarańczowej tylko i wyłącznie za śmianie się, taniec na ulicach, animację krasnoludków spotkali się z dużo poważniejszymi represjami: Andrzej Kielar miał wstrząs mózgu po kontaktach z rozentuzjasmowaną SB i kilka miesięcy spędził w szpitalu. Robert Jezierski miał odbicie nerek i ciężkie pobicie podczas

aspekty prawne. I chodziło o coś, co my określamy mianem sprzętu, tzn. Major w Warszawie rozdał — powiedzmy — dwa wzmacniacze i pół miksera. W styczniu 89 r. amerykańska fundacja przyznała dotację PA, jako ruchowi nieformalnemu, umożliwiającą działanie w szerszym spektrum środków wyrazu niż tylko prosty happening. Wiadomo było, że to kosztuje i wiadomo było, że jeżeli milicja przestanie interweniować, trzeba wzbogacać scenariusze. Żeby je wzbogacać, potrzebowaliśmy sprzętu. Dotacja była przyznana na sprzęt audiowizualny, muzyczny, na pokrycie kosztów druku pism, na sprzęt poligra-

ta cała historia jest kompromitująca, z drugiej strony jest lekką przesadą, żeby w najpopularniejszej audycji telewizyjnej w Polsce anonsować rozdawanie pieniędzy, których nie jest się właścicielem. On rozdał pieniądze Pomarańczowej, nie swoje.

Powstaje pytanie, czy nie można dochodzić swoich praw przez sąd. Odpowiedź Krzysztofa Albina wykazuje podziwu godną konsekwencję i wierność wyrażonym przez się zasadom:

— Można iść do sądu, ale to jest dla nas kłopot: Pomarańczowa Alternatywa jest ruchem liberalnym. Próbowaliśmy dochodzić swego poprzez perswazję i rozmowy z Waldkiem. To były rozmowy młodych ludzi, którzy potrzebowali paru złotych na spontaniczne akcje i nie dostali nic. Rozmawiali z nim ludzie, którzy decydują o kształcie kultury Wrocławia i nie tylko Wrocławia, że to jest szansa dla miasta, bo następne dotacje można było szacować na 30 tys. dolarów. Wzmocniłyby one kulturę we Wrocławiu. A tak, prawdopodobnie wszystko przepada, bo los pieniędzy jest nieznany. Nie ma sprzętu. Major rozdał tylko kilka procent sumy. Dotacja opiewała na okres roczny i w tym czasie trzeba było zakupić sprzęt i coś z nim zrobić. Wtedy byłyby następne pieniądze. A Major włożył te pieniądze do kieszeni i nie wiadomo o nich nic, sprawa leży. Z tego powodu od jesieni 89 r. przy Majorze nie było już nikogo z ludzi, którzy stworzyli klasykę PA. Wszyscy odeszli. On nam teraz przeszkadza i utrudnia życie. Odmówił finansowania happeningu „Karnawał Zebaczy”, zaklecił nasze plakaty jakimś swoim listem i rozpoczął rozdawanie — tym razem — już fałszywych dolarów pół godziny przed naszym działaniem, co można porównać do rozpoczęcia spektaklu w teatrze przez konkurencyjną obsadę pół godziny przed podniesieniem kurtyny. Przez jego utrudnienia happening stracił artystycznie, ale zyskał, jeśli chodzi o autentyczność, bo to był autentycznie karnawał zebaczy dla Pomarańczowej. Mamy około 2 miliony zainwestowanych pieniędzy prywatnych i nie mamy szans na działanie bezdotacyjne. PA nie może być sztuką samofinansującą się. A Waldek jest dość zręcznym strategiem i w różnych wywiadach rozprasza całe zdarzenie, opowiadając o rozdawaniu tylko fałszywych dolarów i odbiór propagandowy robi się taki, że jeżeli były to autentyczne dolary, to było ich niewiele, a może ich w ogóle nie było i to były tylko jaja. Ale to były prawdziwe pieniądze. Z punktu widzenia Zachodu jest obroniona wiarygodność PA — to wiem. Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają, vide: Papandreu, pół miliona dolarów na kochankę. Jeśli coś takiego się zdarza, miarą wiarygodności grupy jest ukazać wszystkie powtórzyć się później. I myśmy to zrobili: i dziennikarsko, i artystycznie. Pomarańczowa wobec kategorii artystycznych jest już czysta.

Orange Watergate

MAREK KOPROWSKI

prześluchania w 89 r. jesienią. Major w 88 r. siedział w więzieniu trzy tygodnie. W czasie „Karnawału Zebaczy” w tym roku wrocławscy neofaszyści wywołali ostrą zadymę, bijatykę, a funkcjonariusze SB, którzy byli obok (mamy ich na zdjęciach), nie kiwnęli w tym czasie nawet palcem.

Wywołano wreszcie postać Majora, czyli Waldemara Fydrycha, który kojarzony jest powszechnie jako twórca, lider, ideolog PA, który sam o sobie mówi i myśli, że „PA — to ja”. On też jest autorem ostatniego głośnego skandalu, który miał podzielić, a nawet rozbić Pomarańczową.

Czy tak się rzeczywiście stało? Oto szczegóły. Najpierw wersja Majora:

— Było to zestawienie faktów: jechałem do Warszawy, żeby zareklamować moją książkę, którą napisałem. Byłoby pomyką, gdyby ograniczyć moją działalność tylko do happeningów. Maluję, piszę, zamierzam też zająć się w najbliższym czasie śpiewaczą karierą jako wokalista. Tak, że na różnych falach działam. Jechałem więc i przyszło mi do głowy, żeby kilka dolarów rozdać na ulicy, a wyprodukowałem trochę własnych dolarów i zelektryzowałem do tego stopnia opinię, że dużo ludzi przyszło na ulice, żeby te dolary dostać. To jest happening gospodarczy. Nie chcę się tylko ograniczać do jałowej sztuki, poskakać trochę i posłuchać muzyki, ale także gospodarkę się zająć. Na moich dolarach z jednej strony jest 10 dolarów, a z drugiej 10 złotych, to w ramach wyrównania kursu dolara. Chcę wspomóc plan Balcerowicza.

I wersja animatorów ruchu, w których imieniu relacjonuje i komentuje fakty rzecznik Krzysztof Albin:

— Gdyby mówić o rozłamie, nie był to rozłam z powodu pieniędzy. Nie chodziło o pieniądze jako takie, chodziło o etykę, uczciwość i jakieś elementarne

ficzny, na opłaty działań scenicznych, koncertowych, transport i tak dalej. Bez takiego sprzętu o realizacji akcji w innym języku niż happening nie mamy co marzyć. Miałem okazję przebywać w Ameryce i zacząłem starać się o dotację. Ameryka jest krajem bardzo dokładnym, jeśli chodzi o dotowanie i oni nie dotują żadnych przypadkowych rzeczy. Powstał preliminarz, który rozesłałem do kilku fundacji, określający bardzo precyzyjnie potrzeby PA. Dotację przyznano, choć nikt w to wcześniej nie wierzył. Była to dotacja wstępna, tzw. pilotażowa, w wysokości 5 tys. dolarów i ona miała służyć wstępnemu wsparciu działań w nowym języku, a dwa: miała sprawdzić wiarygodność ruchu. Ja to gwarantowałem stronie amerykańskiej sobą i własnoręcznym podpisem, a Major te pieniądze odebrał tutaj, w Polsce. Tam osoba podpisująca odbiera dotacji nie dostaje tych pieniędzy do ręki, bo fundatorzy mają różne doświadczenia z przeszłości. Zostały one przekazane bezpośrednio do Polski jako przelew. Musiał je odebrać ktoś w Polsce. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że wziął je Major. Po moim wyjeździe z Polski nikt, oprócz niego nie miał odpowiednio identyfikacyjnego i znanego społecznie nazwiska kojarzonego z PA. Praktycznie ruch kojarzony z Majorem i ze mną jako rzecznikiem. Działania tu prawo cienkiej czerwonej linii. Prawo amerykańskie działa w USA, może w Europie Zachodniej, ale w systemie totalitarnym, bo to był jeszcze wtedy taki system, gwarancje są tylko z punktu widzenia etyki i uczciwości. Los pieniędzy przestał więc być określony. Major doskonale orientuje się w historii, którą opowiada i odmawia jakichkolwiek odpowiedzi na pytania dotyczące tej sprawy. Już po jego wywiadzie w „Teleexpressie” zastanawiałem się, co robić w takiej sytuacji. Sprawa była bardzo niezręczna.

Ciała bez tajemnic

BLAŻEJ TORAŃSKI

Pozostaje kategoria etyczno-moralna i z nią Major pozostaje sam na sam. Jeżeli rozdaje się obojętnie ile dolarów w Warszawie, czy gdziekolwiek, a posiada się w pewnym sensie dług społeczny wobec jakiejś idei społecznej, koleżeńkiej, to najpierw należy spłacić swój dług, a potem można rozdawać co się chce — już we własnym imieniu.

— Jeżeli ktoś się zastanawia nad rozłamem w PA z powodu pieniędzy, to najpierw musi się zastanowić nad za i przeciw łamaniu elementarnych zasad prawa i uczciwości — kończy Krzysztof Albin.

A więc rozłamu nie ma. Rozłamaj się, a jak mówią inni — załamaj — jedynie Major. Został sam. Mógł to jednak przewidzieć.

Pomarańczowa Alternatywa to, według jej animatorów, jakiś etap w życiu. Pełen emocji, wrażeń, autentyzmu. Świadomość twórczego ingerowania w przechodzący ulicami tłum, powodowanie zmiany nastroju ulicy, oderwanie ludzi od ich codziennych trosk, prowokowanie do śmiechu, tańca, zabawy — to musi nieść satysfakcję i wiązać silnym łańcuchem emocji. „Nasz kontakt z drugim człowiekiem jest tak silny, tak autentyczny, że niemożliwy do uzyskania w życiu potocznym” — mówią.

Ten etap w życiu jedni mają już za sobą: byli animatorzy PA objęli ważne funkcje społeczne, państwowe, naukowe, artystyczne. Inni przyłączają się dopiero do ruchu, przystępując do niego, ile ludzi będzie się chciało tym dalej zajmować. W poprzedniej rzeczywistości socjalizmu surrealistycznego PA spełniała swoją rolę. Dziś jest inaczej i potrzebna jest — chyba — nowa koncepcja działania. Ale to już kłopot nowych cząstek pomarańczowego ruchu.

Zeby nie kończyć smętnie, podaje menu „PPR Drink Bar” (PPR — to Pozaspołeczne Pole Rozwoju PA), jaki otwarto w czasie Święta Wiosny we Wrocławiu:

napoje:
— napój firmowy „naprzód młodzieży świata”
— herbata gruzińska „Dzugaszwilli”
— herbata hińska (przez samo „h”) „Niebiański Spokój”
— herbata japońska „Boski wiatr ze Wschodu”
— kawa chilijska „Pinochet Select”

cocktail:
— Molotow cocktail special
— Złota Róża
— Czerwony Luxemburg
— Potiomkin

zakąski:
— Lenin w galarecie w mauzoleum
— kuper Krupskiej saute
— Wasilewska we wspomnieniach

— Bierut na ostro
— Gomułka w inteligencji

Ciekawe, jak smakowało?

Henryk z Poznania wybrał się na spacer wzdłuż plaży, bo nie lubi leżeć plackiem. Nagle patrzy, a wszyscy wokół są nadszy. Poczł się zawstydzony, przykrył się rękawiczką, dyskretnie ścignął majtki. Kątem oka dostrzegł, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Zrozumiał, że naturyzm to nie jest nachalne podglądactwo.

Klaudyna z Gliwic najpierw wykopała w piachu ogromny dół. Po godzinie opalania się nie wytrzymała i poszła do morza, dyskretnie zakrywając się ręką. Szybko doszła do wniosku, że to jest bezsensowne, gdyż nikt na nią nie patrzy, a wszyscy chodzą tak samo „ubrani”. Zaczęła zachowywać się jak pozostała.

Dwudziestoletnia Joanna w sobotę została naturystką, a w niedzielę przyznano jej tytuł drugiej wicemiss Natura '90. Na plażę namówił ją tata i mimo protestów chłopaka (— Nie chcę, żebyś tam jeździła), uparcie postawiła na swoim. A co, miała się nudzić? Taka nuda jest właśnie na zwykłej plaży, a tu przynajmniej można się pobawić.

Udział w wyborach najpiękniejszej naturystki zaplanowała wcześniej. Chciała zobaczyć, jak to jest. Na plażę co chwila jaćś mężczyźni utwierdzali ją w przekonaniu, że powinna startować, że będą na nią głosowali. I zdobyła trzecie miejsce, otwierając jej okno na świat: podpisała z dwumiesięcznikiem „Natura” roczny kontrakt fotomodelki, wyjedzie z łódzkim „Sartourem” do Związku Radzieckiego. To jakieś urozmaicenie w życiu, podzielnym na dwie zmiany: sycie butów w zakładach skórzanych „Alka” i naukę w wieczorowym liceum. Zastanawia się czy potraktuje to jak epizod, czy też pozostanie już naturystką, gdyż właśnie zmienia wiarę. Była katoliczką, zamierza przystąpić do świadków Jehowy. Chciałaby przekazywać prawdę o Bogu, że można znaleźć się w Raju o wiele szybciej, już na Ziemi. Nie wie jednak, jak to głoszenie prawdy ma się do nagiego opalania.

Klaudyna, Miss Natura '90, tak faktycznie to ma na imię Beata. Jak w znanym przeboju sprzed lat. Nie lubi jednak swego imienia, stąd ta mistyfikacja. W odróżnieniu od drugiej wicemiss nie szuka Raju, a przygód. To jedna z przyczyn, dla których wzięła udział w wyborach. Chciała też zobaczyć reakcje innych kobiet. Pamięta z ekranu telewizora radość Miss Polonii, jak dłońmi zakrywała twarz. Wprowadziła to nieporównywalne, powiada, ale ona też przeżyła szok radości. I nie myślała wówczas ani o pieniądzu, które na nią spadły, ani o chorych, którymi opiekuje się w szpitalu, gdzie jest

pielęgniarką. Przez najbliższy rok będzie również fotomodelką i zrobi wszystko, żeby ponownie zdawać na medycynę. Nie da za wygraną, aż do skutku. W tym roku zabrakło jej 4,5 punktu. Czyż nie można oszaleć?

Henryk (lat 33, z zawodu pośrednik handlowy) nie miał wyjścia. Grupa poznańskich naturystów musiała kogoś wydelegować i postawiła go przed alternatywą: albo wystartuje w wyborach Mistra, albo płyń do Szwecji... Pokonał konkurentów w hula-hop i tańcu w rytm lambady i zgarnął 500 tysięcy, szampana i tytuł Mistra '90. Naturystą jest od roku i uważa, że to najlepsza forma wypoczynku. Można się wyżyć, wyzwolić z kompleksów. Na plaży Henryk czuł się jak drzewo, jak spójny element wszystkiego, co go otacza. I nie ma to nic wspólnego z erotyzmem, totalne zero. Zrobił nawet eksperyment: próbował pobudzić wyobraźnię, aby się podniecić. Bezskutecznie.

Nie atletyczna, acz solidną budowę ciała i sprawność Henryk zawdzięcza gimnastyce tai chi. Chińczycy dzięki niej utrzymują sprawność fizyczną i intelektualną bez względu na wiek. To również jedna z przyczyn ich długowieczności. Potrafili nauczyć się żyć z naturą, płynąć z jej prądem. Pewna z zasad tej filozofii opiera się na traktowaniu spraw człowieka z ograniczonym zaufaniem.

Iza z Siemianowic (lat 20) nie da się już namówić na żadne wybory. Dwa lata temu Naptun nie zważając na opór wyścignął ją z tłumem i obrona została Miss Foto. Uwierzyła w zapewnienie organizatorów, że nie będzie publikacji. Po powrocie z Wybrzeża powiedziała rodzicom, że wzięła udział w wyborach Miss Campingu, a wkrótce w „Veto” i popularnej śląskiej popołudniówce „Wieczór” ukazały się jej nagie zdjęcia. Wszyscy w bloku wiedzieli, oprócz rodziców. Kiedy prawda wyszła na jaw, sytuacja w rodzinie stała się nie do wytrzymania i Iza opuściła dom. Na „wyznaniu” zdała maturę i egzamin na AGH. Już drugi rok mieszka u swego chłopca.

Na plaży unika aparatów fotograficznych. Naturyzm akceptuje przy zachowaniu dwóch warunków: umiaru i godności. Najbardziej przeszkadza jej utrata intymności. Wie z opowieści weteranów ruchu, że dawniej nie było na plaży kamer telewizyjnych i Miss Natura nie otrzymywała milionowych nagród, lecz bukiet polnych kwiatów. Było fajnie.

O tym, jak było fajnie, najlepiej wie 43-letni Dyzio z Sopotu. Zaczął z żoną „asać” po lasach i łąkach już w połowie „przerwanej” dekady Gierka. Do

Chałup trafił przypadkiem, przed Wodeckim i jego przebojem „...welcome to”, wtopił się w niemieckojęzyczny tłum nagich postaci i tak już pozostał. Wkrótce na Półwyspie Helskim nastąpiło zageszczenie atmosfery i obyczajów, a wówczas Dyzio zaczął jeździć do Rowów i Lubiewa. Z leżką w oku wspomina jednak pionierskie czasy prezesa Marczyka, który bez względu na to, „czy słońce, czy deszcz” pierwszy pojawiał się na plaży i ostatni ją opuszczał. Wszystko odbywało się spontanicznie, bez legitymacji i komercjalizacji ruchu. Potem, jak twierdzi Dyzio, prezes zgubił alkohol i dziennikarze — gadał byle co i byle jak. Zaczęły się nagie balangi w knajpach (— Łapmy się za cycki, za pupki), udział w telewizyjnych „Sekscesach”, aż „nagi król” musiał odejść. Ale sponsorzy i biznes pozostali, a tam, gdzie zaczynają się pieniądze, zabawa się kończy. Dyzio to doskonale rozumie, bo sam zajmuje się biznesem. Wprawdzie tylko regeneracją agregatów chłodniczych, ale zawsze.

Maria ma pasma siwych włosów, pięćdziesiąt lat z okładem i figure, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna „czterdziestka”. Od roku ponownie jest w Polsce, po ćwierćwieczu spędzonym gdzieś w Kanadzie i Australii. Wyjechała nie z powodu polityki, a jakoś stale przegranych, jednostronnych, nieszczęśliwych miłości. Może to był wpływ Rodziewiczówny, czytanej pod szkolną ławką? W każdym razie postanowiła sobie owe porażki zrehabilitować — jeść południowe owoce i ubierać się ładnie. Na początku wszystko co polskie było lepsze, aż „przewinęła się” na drugą stronę i „ja” zaczęło znaczyć więcej niż „my”. Znalazła „złoty środek”. Ale trudności romantyczne pozostały do chwili, kiedy jeden z przyjaciół przekonał ją do tego, aby wytworzyła przyjaźń sama ze sobą. Te był miłowy krok ku usamodzielnieniu się i niezależności.

Interesowała ją wszystko co dziwne i inne; od filozofii budydyskiej po medycynę rozumianą holistycznie. Przed tą ostatnią, powiada, jest przyszłość, gdyż w pierwszym rzędzie będzie pomagać człowiekowi, aby nie zachorował. Dlatego nie chciała być lekarzem i pomagać ludziom, którzy już sami sobie nie mogą pomóc. Studiowała natomiast na uczelniach artystycznych i teatralnych, żadnej jednak nie skończyła. Gdyby to było w Stanach Zjednoczonych, to zsumowano by lata zaliczone i wydano dyplom, w Australii jednak takiego systemu nie stosują.

Po powrocie z wyjałowionej ziemi australijskiej Maria nie mogła się nasycić smakiem marchewki i pietruszki. Kupiła nawet na zapas w obawie, że ta młoda nie będzie równie smaczna.

Sezon dobiegł końca. Plaże w Rowach, Lubiewie czy Dębkach pustoszeją. Skóra nabrąta gładości, pory się pootwierały, przyszcze zniknęły. Dalszy etap kuracji w saunach.

— Uważaj tylko, żebyś się nie przekreślił — slyszę ostrzeżenie. — Pół biedy, jak trafisz do raju, gorzej, gdy obsuniesz się do piekła!

Z początku podejrzewałem, że to żart. Szybko się jednak przekonałem, że tu żartów nie ma; rzadko wprawdzie, lecz utrata świadomości może się zdarzyć podczas sesji, mogą też wystąpić omamy, z równym powodzeniem przyjemne, co przykre. Stan taki wywołać można bez trudu, ale i łatwo go uniknąć, trzeba tylko wiedzieć, jak. A jak, nie powiem.

Sesje odbywać się zatem powinny pod nadzorem fachowca, którego wiedza, doświadczenie i dobra wola odsuną wszelkie zagrożenia. Opiekun może wyzwolić adeptów, gdy uzna, że zdolny jest już nie tylko do samodzielnego wejścia w sesję, co przede wszystkim do prawidłowego z niej wyjścia. Mój nauczyciel — po paru tygodniach stałych ze mną kontaktów — zezwolił mi na samotne sesje.

Te, o której za chwilę, przeprowadzam specjalnie dla moich Czytelników, chcąc jak najrzetelniej wprowadzić ich w zjawisko, które nosi cudzoziemskie imię — „rebirthing”.

I. W samo południe — niedzielne. Słońce, upał, a ja — w swetrze. Ba, wełniany pled szykuje. Nasuwam ciemne story na otwarte okno. Zapalić świecę? Wstawić w lichtarzyk trocizkę z sandałowego drzewa? Żywy płomień i kadzidlany dym towarzyszą często sesjom, nie są jednak nieodzowne. Mogę je sobie darować, zwłaszcza że ta sesja całkiem robocza. Kładę obok siebie zegarek, notes, długopis, będę też liczył oddechy, czego nie zwykło się czynić normalnie.

Godzina 12.15. Leżę na plecach na dywanie, ręce i nogi wyciągnięte, wyprostowane. Start. Oddycham głęboko, starannie łącząc oddechy w jeden miarowy, nieprzerwany ciąg.

100 oddechów. Na razie nic się nie dzieje, chociaż w poprzednich sesjach już połowa tej liczby dawała pierwsze objawy.

120... Zaczyna się. Mrowienie z końca palców przenosi się po chwili na całe dłonie, a za moment obejmuje i przedramiona.

140... Mrowi już całe czoło. Napinają się mięśnie twarzy.

150... Mrówki chodzą też po nogach. Co dziwne, inaczej niż uprzednio, zaczynają od kolan, które w niedługi czas później boleśnie sztywnieją.

170... Narasta chłód, z początku lodowaciej stopy, potem łydki i uda, w końcu brzuch — jakby napętnił się zimnym owłowiem.

200... Mrowienie nie ustępuje, prowadząc powoli do odrętwienia całego ciała. Palce sztywnieją tak, że co-

raz trudniej nanosić notatki. Przedramiona zaczyna rozsadzać od środka potężna siła.

240... Zaskakuje mnie zapach ozonu w powietrzu. Tak przejmujący jak po wielkiej burzy, a przecież za oknem letnia spiekota.

300... Odrętwienie narasta. Najsilniej odczuwam je w dłoniach i przedramionach, a i w barkach. Oddycham z trudem. Cała klatka piersiowa, żebra, mięśnie — wszystko stawia opór.

400... Coraz trudniej uchwycić długopis, po który sięgam po omacku, bo wzrok mi się całkiem zamglił. W ogóle dźwignięcie się z podłogi wymaga wielkiego wysiłku. Niełatwo też liczyć, potykam się, myślę.

460... Odrętwienie przeraża się w silną wibrację, najbardziej odczuwalną w dłoniach, przedramionach i kolanach.

500... Wibracja narasta, potęguje się jej siła, zakres, częstotliwość.

520... Wibrować zdaje się całe ciało. Z taką siłą, że ręce i nogi chyba mi już dygoczą. Nie mogę jednak się upewnić, bo podnieść się teraz nie sposób. I ten przenikliwy chłód.

540... Wibracja narasta, choć zdawało się, że osiągnęła już szczyt. Przyspiesza się też oddech, klatka piersiowa nie stawia oporu, przeciwnie — jakby samoczynnie tłoczyła powietrze. Wciągamy je głęboko, chociaż jeszcze przed chwilą musiałem usilnie się starać, by nie spłycić oddechu.

600... Dłonie i przedramiona rozsadza od wewnątrz potężna, wibrująca wciąż siła. Jeszcze moment, a eksplodują. Ból dotkliwy.

650... Nie mogę zgiąć palców u dłoni. W ogóle z ledwością poruszam ręką, nogą.

Dać już spokój? Spłycić oddech, żeby wycofać objawy? Można tak, można inaczej. Oddycham dalej.

800... Wibracja traci na sile. Szybko, coraz szybciej. Odrętwienie wraca na krótko, niezauważalnie ustępuje miejsca mrowieniu.

1000... Mogę bez trudu się poruszać. Znikł otów, wypełniający dotąd brzuch, a ten ożywia się nagle, kruczy, ale nie boli. Nic już zresztą nie boli.

1030... Zostało już tylko mrowienie dłoni. Spłycam oddech i zaprzestaję liczenia. Oddycham z rozsadką, a nie — potrzeby, bo mógłbym zaprzestać oddychania na długo.

Godzina 13.15. Wstaję. Z zawrotem głowy, który zaraz mija. Dłonie tylko jeszcze mrowią, a i drżą, o czym przekonuję się, zapalając papierosa.

Skończyła się sesja. Czy jestem z niej zadowolony? Nie była męcząca, wyszedłem w nastroju nie gorszym niż w nią wchodziłem. Czuję się rześki, zrelaksowany, do tego płuca i oskrzela jakby się oczyściły od ciężaru kilku-

dziiesięciu papierosów wypalanych dzień w dzień. Takie są skutki doraźne, o innych za wcześniej jeszcze mówić, reakcja na sesję wystąpić potrafi w wiele godzin po jej zakończeniu. Z punktu jednak widzenia na interes Czytelników, przebieg sesji nieco mnie rozczarował. Przyjdzie więc jeszcze wspomnieć o innej, bardziej dramatycznej... Tak czy inaczej, znów potwierdziła się reguła, że schemat wprawdzie wciąż ten sam, szczegóły ustawicznie się zmieniają, niepowtarzalne są i różnorodne indywidualne reakcje na „rebirthing”.

Podnośmy kurtynę coraz wyżej.

II. Cóż to takiego — „rebirthing”?

Bywa tłumaczony jako „odrodzenie” — potocznie, a całkiem nieprawidłowo, bo znaczy w istocie „rodzenie się od nowa”, „ponowne narodziny”, określając tym samym swój główny cel.

Gdybym go nazwał zachodnim substytutem jogi po-

czasu koncepcji szoku porodowego jako głównej przyczyny życiowych niepowodzeń, trudności adaptacyjnych i podatności na stres, ba, wszelkich zaburzeń osobowości. Neurotyczna osobowość naszych czasów — jakby powiedziała Karen Horney — jest zdaniem wyznawców tej koncepcji wytworem właśnie traumy porodowej.

Poród jest dla wydostającego się na świat płodu szokiem. Jaskrawe światło, ostre dźwięki, szorstkość rąk, twardość narzędzi. Nawet, gdy poród odbywa się w sposób naturalny, bez kleszczy czy skalpela, kończy się brutalnym szarpnięciem za nogi, nagłym wyprostowaniem kręgosłupa, zwiniętego dotąd miękko. I uderzenie — nagły ból, zachłyśnięcie się powietrzem, zatechnienie się krzykiem. Pierwszy oddech i śmiertelne prerażenie, rozdzierający ból. A przedtem — tak ciepło, wygodnie, bezpiecznie w wodach płodowych, miękki półmrok, stłumione dźwięki, tlen tłoczony pepowiną. Nic dziwnego, że

leczej. Leonard Orr ces: „rebirthing” roku na rok o niejsze uznani prżatą uwagę na całym świecie.

III.

Ból bloku, twierdzą ribertery, jemne wspomni do podświadomości napięć, frustracje, trudno dojsć, usunąć. Aby uzyskać wewnętrzną, by móc szczęśliwie musi odzyskać wrócić do swego przeżyje je na dzień — inn.

Cytuję wywiad Sandry Raya z „Relationship”:

„Łączenie wodu chu pozwala na przyplwy ba. Powtórne doświadczeń jest niebowiem pierwwo walo mechanicznie.

Jak próbowałem narodzić

JACEK INDELAK

łączonym z wybranymi elementami psychoterapii, riberteryzacji, najpewniej ofukneliby mnie zdrowo. Sami bowiem powiadają:

— „Rebirthing” nie jest ideologią, religią, filozofią, terapią, psychologią czy psychiatrią, nie zastępuje też, ani nie wykorzystuje żadnej z nich. Jest natomiast nowoczesną, holistyczną (całościową) metodą pomagania samemu sobie, głównie za pomocą wspaniałej techniki oddechowej. „Rebirthing” pozwala na osiągnięcie właściwego stanu świadomości, na uzyskanie równowagi ciała i umysłu. Pozwala na uprzytomnienie sobie, że każdy człowiek w stu procentach jest odpowiedzialny za swój los, sam o nim przesądza, gdyż nie ma przypadku, nie się nie dzieje bez przyczyny. Nie byt kształtuje świadomość, lecz świadomość kształtuje rzeczywistość, gdyż myśl jest twórczą, ma ogromną siłę sprawczą. Bezpiecznie i pomyślnie można iść przez życie, poruszać się w świecie tylko wówczas, gdy nie tylko akceptuje się, ale wprost afirmuje samego siebie, do czego dojść można przez „rebirthing”.

„REBIRTHING — nauka cieszenia się własnym życiem” — takim tytułem opatrzyli swój podręcznik Jim Leonard i Phil Laut. Amerykanie, bo i Stany Zjednoczone są ojczyzną „rebirthingu”. Twórcą metody jest Leonard Orr z Kalifornii, hołdujący modnej od pewnego

oddech został spłycony jako prosta konsekwencja obawy przed bólem.

Czy szok porodowy musi kłaść cień na całym naszym życiu?

Otóż, nie — uznał Leonard Orr, szukając sposobu na powrót do tej przaprzyczyny wszelkiego zła, a więc sposobu na „nawiązanie kontaktu z szokiem porodowym, by można było, niejako powtarzając poród, usunąć jego negatywne skutki ze świadomości, narodzić się na nowo w zgodzie ze światem i zgodzie na świat. Najpierw Orr opracował metodę „mokrą”: delikwent w masce do nurkowania kładzie się twarzą na dnie pojemnika z ciepłą wodą, gdzie oddycha specjalną, bardzo forsowną techniką przez rurkę. Sposób ten jednak okazał się, zwłaszcza dla początkujących, za trudny, niekiedy wręcz szkodliwy. Orr stworzył wówczas metodę „suchą”, uznawszy — po kolejnych próbach — że prawidłowa relaksacja i odpowiednie oddychanie są istotą problemu, z powodzeniem można się obejść bez wody.

Metoda ta — wprowadzona przed niemal dwudziestoma laty — powoli zdobywała popularność, natrafiwszy na podatny grunt, powszechnie na Zachodzie zainteresowanie orientalnymi technikami relaksacyjnymi i medytacyjnymi, któremu początek dał pamiętny ruch hippisowski, na tyle masowy i silny, że prowadzący do trwałych przemian świadomości spo-

(...) Wyzwalani chodzą prawdę czas każdej sesji, ale punkt przypada na kiedy wibruje przechodzi przez wolejąc uczucie dławienia. Tak było — wtedy tałeś swój pi razem z plynami. Ta chwila thingu najbardziej jąca. Nic dzień przeżywasz koszmar — w dławiać się i wyrzucić wody płuc. Przeżycie moment otarcia z osobą poddanie rebirthingu, większą sztywność zadaniem ribertery. Czy musi być tyczne?

Podobno nie, przecież różnicę powtarzalną. J. przeszedłem i katusze podczas sesji, w którym nie mając jąca o objawie ją wystąpić riberteryzacji z sztywnością swego ciała, co może spotkać, przezwyciężając, przezwyciężając, tak ogromną siłą stanie wywołanie pisane przed moim. Toteż i ja Państwu o „rebirthingu” dopowiadam wsz

dniości suk-
zdobywał z
cz powszech-
a dziś za-
ionów ludzi
je pamięć —
ty. Nieprzy-
maia spycha
ości, gdzie
zazga, ro-
a, kompleksy,
tych źródła
dno więc i
cwiek mógł
zną harmo-
g pomyslnie,
stawać —
pamięć, musi
narodzin,
wzrót, odro-
z pracy
Loving Re-

końca, bo a nuż i Wy zech-
ciecie go spróbować.

IV.
Leonard Orr swą posia-
dłość o wdzięcznej nazwie
Campbell Hot Springs (Sier-
rville, California) przemienił
w Światowe Centrum Rebir-
thingu. Dotarła tam przed
paroma laty Lucyna Winni-
ka. Za jej sprawą twórca
„rebirthingu” odwiedził pa-
rokrotnie Polskę, sama zaś
pani Lucyna założyła w kra-
ju — dość szeroko znaną —
Akademię Życia, dopełniając
w ten sposób przeszczepia-
nia Orrowskich pomysłów na
polski grunt.

Dzisiaj w Polsce działa kilku-
dziesiątu rejestrowanych ri-
berterów, których licencje
odnawiane są rokrocznie.
Powołali oni — po kilku la-
tach starań — Krajowe Cen-
trum Rebirthingu w Silnej-
Nowej.

Silna-Nowa czyli temat na
osobny reportaż. Wioska mię-
dzy Pszczewem a Borowym
Młynem w województwie go-
rzkowskim. Odosobnione go-
spodarstwo, wykupione za
składkowe pieniądze, położo-

wadza w sesję. Najpierw
każdy z obecnych musi od-
powiedzieć na pytanie, co go
tu sprowadza, czego spodzie-
wa się po „rebirthingu”. Pro-
wadzący zajęcia wysłuchuje
wypowiedzi z uwagą, włącza
się w nie raz po raz, prowo-
duje, drażni, zmusza do pre-
cyzji w wysławianiu się i
myśleniu, bezlitośnie wyka-
zuje banal i pustkę, gdzie się
tylko pojawiają. Speszyszcy,
obraca wszystko w żart, pok-
piwając głównie z samego
siebie. Prowadzi — wolno,
nie spiesząc się — subtelną
grę, której następny etap
jest również interesujący: ne-
gociacje. Strony negocjują
warunki płatności. Idzie to
jednak niemrawo, bo ri-
berter oczekuje inicjatywy ze
strony zebranych, oni zaś —
utartym zwyczajem — spo-
dziewają się, że to on narzu-
ci im cenę swych usług.

I w końcu — pierwsze od-
dychanie. Większość wchodzi
głęboko w sesję. A pod jej
koniec — krąg całkiem roz-
sypany, pobożewisko. Leżą
pokotem na podłodze, w prze-
różnych — nierzadko dzi-
wacznych — pozach, a nad-
nimi krąży ri-berter, zwinny
i czujny, gotów do natych-
miastowej interwencji tam,
gdzie jego pomoc byłaby nie-
odzowna. Niedawna cisza —
zakłócana jedynie miarowym
poświstywaniem wielu odde-
chów — przysła. Zgiełk, tu-
mult, histeryczny płacz i o-
błąkańczy śmiech, okrzyki,
skowyty.

Stłumione emocje — po-
wiadają ri-berterzy — to po-
tworny garb dźwigany przez
wielu z nas. Powściągane uc-
zucia — tak negatywne, jak
pozytywne — okaleczają nie
tylko nasze dusze, lecz i cia-
ła. W nich właśnie, w owych
emocjonalnych blokadach
tkwią przyczyny nie tylko
wielkiej plagi współczesności,
jaką są masowe psychoneu-
rozy, ale i wielu chorób so-
matycznych.

V.
— Czy polecilibyś „rebir-
thing” każdemu z czystym
sumieniem? — zapytał jeden
z przyjaciół, wprowadzając
mnie w nie lada zakłopotanie.
Reporter powinien opisywać,
a nie komentować, a tu wzy-
wają go do tablicy. Może je-
dnak słusznie, skoro przed-
miot tak czuły, tak kruchy
jak człowiek. Z nim igrzać
bezkarnie nie wolno...

„Rebirthing” reklamowany
jest przede wszystkim jako
skuteczny sposób doskonalenia
duchowego, osiągania
wyższego stopnia rozwoju
świadomości. W piśmiennic-
twie jest mowa wręcz o
„pozytywnym, deliknym
przestrukturowaniu” (może
— przekonstruowaniu?) umy-
ślu i ciała. Walory użytkowe
„rebirthingu” poszerzono
zresztą ostatnio o twórczy
trening spod znaku „prosperi-
ty”, stanowiący temat sam
w sobie. Aspekt psychotera-
peutyczny „rebirthingu” jest
wciąż na pewno pozytywny,
jeśli nawet nie pomoże, nie
powinien zaszkodzić.

Mniej jednoznaczny jest fi-
zjologiczny wymiar ri-berter-
skich praktyk, a tym przecież
istotniejszy, że związany bez-
pośrednio z funkcjonowaniem
ludzkiego mózgu. Umysł czło-
wieka pozostaje jednak wciąż
wielką zagadką. Nauka —
mimo postępów, którymi się
chełpi — nadal jest na po-
czątku drogi, postęp wiedzy
odstania coraz to nowe ob-
szary niewiedzy.

Prana, wjana, apana czy
wreszcie pranajama — ryt-
mizacja i zatrzymywanie od-
dechu — znane z jogi tech-
niki oddechowe, mające na
celu wywołanie istotnych
zmian w funkcjonowaniu u-
mysłu i ciała w miarę ilo-
ściowych i jakościowych prze-
ształceń mieszaniny gazów
(według jogi — energii) w
organizmie człowieka. Skutki
ich stosowania, nieprawdo-
podobne wręcz, a przecież
zamierzone i powtarzalne,
dowodzą, że starożytni jogi-
nowie posiadli wiedzę, której
wciąż możemy im tylko po-
zazdrościć. Przydałaby się
podobna wiedza o „rebirthin-
gu”.

W czasie ri-berterskiej sesji
organizm człowieka podda-
wany jest długotrwałej hi-
perwentylacji, a więc — w
uproszczeniu — dramatyczne-
mu obniżeniu poziomu dwu-
tlenku węgla we krwi.
Wprawdzie teoretycy „rebir-
thingu” twierdzą, że po o-
siągnięciu kulminacji hiper-
wentylacja przechodzi w

„subwentylację” (chyba hi-
powentylację?), co potwierdza
w pewnej mierze samoistne
wycyfrowanie się w miarę od-
dychania fizycznych objawów,
nikt jednak — jak dotąd —
nie potwierdził tego paradok-
su laboratoryjnymi badania-
mi.

Czy hiperwentylacja nie
pozostawia trwałych zmian
w mózgu, skoro krótkie na-
wet jego niedotlenienie pro-
wadzi do nieodwracalnych
zniszczeń? A może są one
największym walorem „re-
birthingu”, który po prostu
udoskonala nasze mózgi?

Niestety, na to i na wiele
innych pytań nikt nam dotąd
nie dał wiarygodnych odpo-
wiedzi. I ja mógłbym wikłać
się dalej w uczone wywody
na temat gospodarki gazami
i homeostazy jonu wodorowe-
go, alkalozji metabolicznej,
hiperkapni, acydemii i alka-
lemii oddechowej, oddechu
Biota i oddechu Cheyne-Sto-
kesa, tylko po co, skoro „re-
birthing” jest faktem, a jo-
ginowie dokonywali i doko-
nują istnych cudów. Dlatego
też Czytelnikowi, który spy-
tałby mnie o radę, czy ma
próbować narodzić się od
nowa, odpowiedzieć powinienem
jedną z ri-berterskich a-
firmacji:

„Nie jestem już bezradnym
niemowlęciem. Kocham w
sobie rozwój i branie za nie-
go odpowiedzialności”.

się od nowa

oddechu za-
podobnie pod-
rebirthingu,
ulminacyjny
moment,
ja energia
egardio, wy-
ieściskania i
kuz kiedyś
iedy chwy-
szy oddech
a porodowy-
t w rebir-
przeraża-
go, przecież
ruw tamten
ysz o życie,
luszając, by
plodowe z
przez ten
o śmierć
aną meto-
jest naj-
i głównym
ta”.

ne pośród lasu na brzegu je-
ziora Chłop. Tu ri-berterzy z
całego kraju wymieniają do-
świadczenia i doskonałą u-
miejętności, uczestnicząc —
w tygodniowych najczęściej —
treningach, kończących się
tradycyjnie ogniskiem i cho-
dzeniem po... rozżarzonych
węglach.

Ruch zainicjowany przez
garstkę zapaleńców uległ
stopniowej profesjonalizacji.
Wielu ri-berterów porzuciło
dotychczasowe zawody, czy-
niąc z „rebirthingu” swe je-
dynie zajęcia zarobkowe. Na
Zachodzie ich koledzy zdo-
bują szeroką klientelę,
której świadczą w miarę sta-
łe usługi, jak to czynią do-
mowi lekarze, psychoanali-
tycy, a ostatnio i bioenergo-
terapeuci. Tendencją ta u-
powszechnia się powoli i w
Polsce, — aczkolwiek wobec
nieporównanie uboższego spo-
łeczeństwa, przeważające tam
sesje indywidualne należą u
nas do rzadkości, najpo-
wszechniejsze są zajęcia gru-
powe...

„Kawiarnia domu kultury
przy ul. Nawrot. Dwudzie-
stoparosoobowa grupa —
młodych w większości — lu-
dzi siedzi po turecku na po-
dłodze, tworząc krąg wokół
zapalanej świecy. Pośród
nich szczupły mężczyzna z
ogoloną do skóry głową, o-
dziany w czerwony dres
przywodzący na myśl bud-
dyjskiego lama, czy hindu-
skiego guru. Chłodne, przeni-
kliwe spojrzenie niebieskich
oczu, ale i łagodny, zachęcają-
cy uśmiech. Ri-berter wpro-



działa od 1929 r.

BANK POLSKA KASA OPIEKI S. A.

ODDZIAŁ W ŁODZI

ul. Piotrkowska 211

uprzejmie informuje P. T. Klientów
o atrakcyjnych formach swojej działalności,

tj.:

- ▲ udzielanie podmiotom gospodarczym de-
wizowych i złotówkowych KREDYTÓW
obrotowych i inwestycyjnych na korzyst-
nych warunkach.
- ▲ przyjmowanie LOKAT terminowych w
złotówkach na rzecz osób fizycznych, na
okres 3, 6 lub 12 miesięcy,
- ▲ prowadzenie RACHUNKÓW bankowych
podmiotów gospodarczych.

Hyundai zamiast Poloneza

— I wcale się tych prezerwatyw nie wstydzimy — dyrektor naczelny „Polmozbytu”, Jan Grzesiek, wzrusza ramionami — dziś handlujemy wszystkim, co może firmie przynieść zysk. Będą więc i rewelacyjne południowokoreańskie „Hyundai'e”, być może — jednoślady japońskiej „Hondy”, już są w naszym centrum przy ulicy Przybyszewskiego tanie ciuchy i najtańsze w Łodzi telewizory z importu. Obok — bar bistro, bagatela — cztery stacje obsługi samochodów, własna stacja benzynowa, wkrótce — spożywczy supermarket. Ale sprowadzimy także z Korei Południowej opony do „malucha” — tańsze od naszych i — wiele atrakcyjnych wzorów prezerwatyw z krajów Dalekiego Wschodu. Cena z pewnością nie przekroczy 300 złotych za sztukę...

— Czyli „frontem do klienta” w całej okazałości. Ale przede wszystkim przybliżmy Czytelnikom tajemniczego „Hyundaia” i zaprezentujmy finał wielomiesięcznych rozmów z Koreańczykami.

— Cóż, samochód osobowy, który od nich chcieliśmy kupić musiał spełniać kilka podstawowych warunków: miał być tani, niezawodny, spotykany na europejskich rynkach. Zdajemy sobie również sprawę, że oprócz samochodu średniolitrażowego, dla tak zwanej middle class, najbardziej poszukiwanym w najbliższych latach w Polsce będzie nowoczesny samochód dostawczy. Wybór padł na koreańską firmę, która praktycznie bazuje na japońskiej wiedzy i technice, znana jest w Stanach Zjednoczonych, a ostatnio „Hyundai” pojawił się także w Holandii, RFN i Jugosławii.

— Nieco danych technicznych proszę... i terminów dostaw...

— Mniej więcej w połowie czwartego kwartału tego roku do Łodzi dotrzeć powinno 300 samochodów z pierwszej, informacyjnej serii. Chcemy mieć wgląd w ich eksploatację, toteż te pierwsze egzemplarze sprzedawane mają być przede wszystkim łodzianom. Cóż to za pojazdy? Model „Pony” w wersji 3- i 5-drzwiowej oraz bardziej luksusowy „Excel” — wyłącznie 4-drzwiowy, wszystkie do wyboru z benzynowymi silnikami 1300 lub 1500 cm sześć, różne kolory, sporo elementów wyposażenia dodatkowego. Zużycie paliwa w granicach 7—7,3 litra w mieście i poniżej 6 litrów — na trasie.

— No i cena, ponoć porównywalna z Polonezem?

— Być może, nikt nie wie ile ta flagowa jednostka naszego przemysłu motoryzacyjnego będzie kosztowała w listopadzie czy grudniu. Cena koreańskich samochodów oscylować będzie od 70 do 88 milionów złotych. Mniej być nie mogło, mimo niezłych prognoz początkowych, ale cóż ja mogę „uhandlować”, jeśli ponad jedną trzecią ceny ostatecznej stanowią opłaty na rzecz ochrony polskich samochodów, czyli cło i podatek obrotowy.

— Dostawczego auta Koreańczycy nie chcą sprzedać?

— To prawda. Prowadzimy w tej sprawie rozmowy z koncernem Mitsubishi i Citroenem. I musimy dopiąć celu — przecież żaden rodzimy biznesmen z prawdziwego zdarzenia nie kupi dla swych celów Nysy czy Żuka.

— Ponoć Japończycy w czasie niedawnej wizyty w Łodzi urządzili panu kilkugodzinny wszechstronny egzamin? Z jakim wynikiem?

— Chyba wypadłem nie najgorzej. Efekty motoryzacyjne poznamy później, japońscy biznesmeni są niezwykle oszczędni w konkretnych propozycjach współpracy. My tylko zasugerowaliśmy, że chcielibyśmy sprzedawać ich auto, ale nie w drogiej wersji Galant, tylko odmianę mniej luksusową Lencer (sedan i combi) oraz Colt, a przede wszystkim ów wspomniany samochód dostawczy o ładowności do 2,5—3,5 tony.

— Czy to prawda, że łódzki „Polmozbyt” sprzedawał będzie także doskonale znane i cenione na europejskich rynkach auto — Hondę Civic?

— Tak, wspólnie z kolegami z Rzeszowa. To prawdziwe cacko z silnikiem 1400 ccm o wyczynowo-sportowych walorach przeznaczone jest dla odbiorcy z temperamentem i... kiepską, z której wysypła około 10—11 tysięcy dolarów. Tu znów się kłania wspomniany podatek i wysokie cło.

— Może warto w trakcie rozmów zainteresować się motocyklami firmy Honda...

— Trafił pan w dziesiątkę; my takie rozmowy już prowadzimy. Producent znanych u nas MZ właściwie ceny nie zmienił, kwota pozostała ta sama, tyle że płatna w markach zachodnich. Nabywca u nas musiałby wyasygnować kwotę zbliżoną do ceny... „malucha”.

— Jakże maszyny wchodziłyby w grę?

— Chcielibyśmy kupić przede wszystkim kilka odmian nowoczesnych skuterów, motorowerów oraz sportowo „obudowanych” motocykli o pojemności 125 ccm, z silnikami chłodzonymi cieczą i powietrzem. Rozmawialiśmy też o małej partii szybkich 250-tek, z których doświadczalnie — tak myślę — mogłaby skorzystać łódzka „drogówka”...

(D.)

„Polacy udający się na koncert The Rolling Stones do Pragi mogą przekroczyć granicę czeskosłowacką po okazaniu ważnego biletu wstępu, dokonanej wymiany 80 koron czeskich i dowodu osobistego — paszport nie jest konieczny do przekroczenia granicy”.

Tyle komunikat rządu Czechostowacji, określający warunki ruchu na granicy w dniu 18 sierpnia br. Jednak „polskie schody” zaczęły się bardzo wcześniej — już przy kupnie biletów.

Przejście graniczne w Lubawce — 18 sierpnia tuż po północy. Droga dojazdowa wspina się na przełęcz wąskim, krętym szlakiem. Widoczność 20 metrów. Mgła. Zimno.

Jesteśmy pierwszym tego dnia samochodem osobowym. Czeska celniczka ogląda nas z zaciekawieniem. Przeciera zaspane oczy i... nawet nie zagląda do bagażnika.

Polski WOP-ista poucza nas, żeby zatrzymać się na linii, bo „po to przecież stoi tu, a nie kilometr dalej”... Cofamy samochód o dwa metry i oddajemy paszporty. Stempel i jesteśmy w Czechostowacji.

Czeski żołnierz jest miły i rozmowny. Gawędzimy chwilę o drodze, o koncercie, o cenach biletów — u nas 100 tysięcy — u nich 250—280 koron. Drogo.

Polska celniczka wygląda z budynku. Obrzuca nas złym wzrokiem i znika. Wpaść jej w ręce...

Granica została w tyle. Cała procedura — niecałe 10 minut. Prawie Europa.

Przed sprzedaż biletów prowadziły cztery punkty — PSJ, klub „Hybrydy”, Jazz-Club „Akwarium” — wszystkie w Warszawie, oraz katowicki „Spodek”.

Wg informacji Tomasza Tłuczkiwicza, koordynującego akcję — biletów było 3000, chociaż „mogliśmy mieć tyle ile byśmy chcieli...”. Na dzień przed koncertem sprzedanych było około 1500 biletów. Dlaczego tak mało?

Nie chcieliśmy kupić? A może nie chcieliśmy sprzedać? Polska nie ogranicza się do Warszawy i Katowic, chociaż niektórzy tak uważają. A może nie zasłużyliśmy na takie wyróżnienie?...

Wygodną drogą przez Jičín i Mlada Boleslav jedziemy do Pragi. Z każdym kilometrem rośnie ruch, coraz więcej jest też autostopowiczów. Zabieramy „dve holky”. Dzięki nim dostajemy się do serca miasta, którego układ komunikacyjny może konkurować z labiryntami faraonów.

Znalezienie miejsca parkingowego w centrum graniczy z cudem. Zwłaszcza dziś, kiedy oprócz mieszkańców i wycieczek, z całej Europy ciągną tłumy fanów najsłynniejszej kapeli rockowej świata.

Na staromiejskim rynku, nadwielitawskich bulwarach, w pasażach, parkach, stacjach metra, restauracjach, piwiarniach i winiarniach starej Pragi sły-

chać wszystkie języki Europy. Ktoś obok żartuje — „co drugi Niemiec, co trzeci Polak, a gdzie Czesi?...”

Bank przy al. Kościuszki 14 w Łodzi:

— Chciałem dokonać wymiany koron.

— Ma pan zaproszenie?

— Jadę na koncert. Bilet zastępuje zaproszenie.

— Nic o tym nie wiemy. Nie było zarządzenia. Proszę wejść jutro.

— Ale ja dzisiaj jadę!

— ?!...

Praga wygląda, jakby ktoś pomalował ją na żółto i czerwono — w tradycyjne barwy Stonesów. Na murach transparenty — Rolling Stones — Praha — Strahov. Na płotach plakaty — Rolling Stones — Urban Jungle — Europe '90. Na słupach napisy — Rolling

„Satisfaction”

Stones. Na znaczkach, nalepkach, zdjęciach, koszulkach — Rolling Stones.

Na ulicy słychać krzyki gazeciarzy, zachęcających do kupowania dzisiejszych wydań z materiałami o Rolling Stones.

To samo na dworcu, w metrze, domu handlowym. Dziś liczy się tylko Rolling Stones. I prezydent Havel. Ale i on jest fanem Stonesów, więc Rolling Stones znaczy dziś także Havel, Praga, Polska, Europa, wszystko...

Numer pisma „Rock and Pop” z 17 sierpnia 1990. Na pierwszej stronie liderzy — Keith Richards, Mick Jagger i zapowiedź:

— „17 stran čtení o nejslavnější kapele všech dob”.

Pismo ma 32 strony. W spisie treści czytamy:

— „RS” — welcome 7.

— „RS” — biografie.

— „RS” — wywiad... „RS” —

— kalendarium, płyty, ankiet, tournée '90, „RS” w filmie itd...

Bank przy al. Kościuszki 63 w Łodzi:

— Chciałem wymienić korony.

— Paszport i zaproszenie.

— Jadę na koncert do Pragi. Można bez paszportu. Tu jest ważny bilet.

— Skąd wiem, że to ważny?

Tu jest napisane po czesku. Zresztą — bez paszportu nie można.

— Ale w radiu mówili...

— Nie obchodzi mnie co mówili. Ja mam swoje przepisy.

Minęła piętnasta. Za godzinę stadion spartakiadowy na Strahovie zacznie się zapełniać widzami. Mimo, że koncert ma się rozpocząć o 19. w kierunku stadionu podążają coraz gęstsze tłumy.

Centrum zaczyna się już wyludniać. Zaczęła funkcjonować specjalnie dziś uruchomiona komunikacja. Autobusy, tramwaje — wszędzie są informacje o połączeniu ze Strahovem. Dodatkowe wozy zapełnione do

Kto się naje wolnością?

Moskwa anno domini 1990 przypomina do złudzenia Polskę 1980 roku: puste sklepy, kilometrowe kolejki, rozmowy o polityce w metrze, sklepie, na ulicy...

Rosjanie są podzieleni. Każdy ma własny program naprawy Kraju Rad i chętnie go wygłasza przy różnych okazjach.

— Nam potrzebny jest car taki jak przed rewolucją — twierdzi młody człowiek po studiach. — Tylko car mógłby dziś zapewnić silną i stabilną władzę.

— No właśnie — popiera go inny młody człowiek — jaki car był taki był, ale kolejek za jego panowania nie było.

— A ja bym nie trzymał na siłę tych co się chcą odłączyć. — Tłumaczy pan, deklarujący się jako czystej krwi Rosjanin. — Po co nam różne republiki? Utrzymujemy je, wysyłamy im towar i przez to mamy puste sklepy!

— Ja szanuję Gorbaczowa — odzywa się młody człowiek o skośnych oczach — ale tak ogromny naród jak nasz trzeba trzymać mocną ręką. Co z tego, że mamy wolność, kiedy mamy puste sklepy?

— Właśnie! Wolnością się nie najemy! — wtrąca starszy pan. — Za Stalina nie było wolności, ale był spokój, a teraz wszystko wywraca się do góry nogami: budzą się nacjonalizmy, rośnie przestępczość. Człowiek boi się już wyjść na ulicę!

Przestępczość w Moskwie jest rzeczywiście wysoka. Moskwićzanie ogarnięci są paniką. Krążą mroźne krew w żyłach opowieści o niezwykłych ofiarach napadów znajdujących w parkach, na klatkach schodowych, skwerkach. Kiedy dwie polskie turystki udały się na spacer o godzinie 20, opiekujący się nimi Rosjanin, przestraszony ich godziną nieobecności chciał... dzwonić na milicję.

— Poszły same o tej godzinie! — denerwował się. — Przecież to samobójstwo! Gdybym o tym wiedział, nigdy bym ich nie puścił!

Rosnąca przestępczość, destabilizacja kraju i życia jego mieszkańców spowodowały, że spadła popularność Gorbaczowa, a większość przeciętnych obywateli widzi swojego przywódcę w Borysie Jelcynie.

— To mądry i uczciwy człowiek, to on jest faktycznym twórcą pierestrojki — mówią Rosjanie.

— To on odkrył i pokazał światu jak żyje czerwona burżuazja.

— To on powinien być pierwszym prezydentem Związku Radzieckiego, a nie Gorbaczow. Gorbaczow jest zbyt uległy, a nam potrzeba człowieka silnego!

Wśród kobiet popularność Gorbaczowa jest niska ze względu na... jego żonę Raisę. Przyczyna? — zwykła kobieca zazdrość. — Skąd ona ma tyle forsy na ciuchy? Sklepy puste, a ona się stroi. Za co? Za pieniądze narodu — krzyczą kobiety w kilometrowych kolejkach po buty, piaseczko, rekawiczki, bieliznę, skórzane torebki. Słowem — po wszystko. Żeby cokolwiek kupić w Moskwie, trzeba się legitymować moskiewskim paszportem. Jedynie wełniane chusty za 30 rubli nie są „na paszport”.

Z półek sklepowych znika absolutnie wszystko; od artykułów pierwszej potrzeby począwszy na maszynkach do masażu elektrycznego skończywszy. Większość poszukiwanych artykułów np. miksery, młynki do kawy sprzedawanych jest na talony, podobnie jak srebrne obrączki. Złota w sklepach jubilerskich nie ma wcale. Speculanci żądają za ten szlachetny metal ponad 300 rubli za gram. W sklepach jubilerskich panuje popłoch i panika. Ludzie stoją w kilometrowych kolejkach, by kupić choć kawałek srebra. Obojętne czy jest to gustowna broszka czy tandetny pierścionek.

Nielatwe mają życie moskiewscy palacze papierosów. Aby zdobyć papierosy, stoją w ogromnych kolejkach do sklepów tytoniowych lub kiosków. Od chwili, gdy władze Moskwy wydały zarządzenie, że jednorazowo można kupić tylko 5 paczek papierosów, bardziej zaawansowani palacze są zmuszeni korzystać z usług spekulantów. Ci, za paczkę najbardziej popularnych „Bielomorów” (kosztujących oficjalnie 20 kopiejek) żądają nawet 5 rubli.

Również amatorzy mocnych trunków mają w Moskwie nielatte życie i... jak na razie nie wskazują na to, że w najbliższym czasie sytuacja się polepszy.

MAGDALENA GROCHOWALSKA

granic wytrzymałości. Na stacjach metra spiker co chwilę informuje o dojazdach na stadion. Czuje się już atmosferę oczekiwania. I tylko słońce za lewą wszystko nieznośnym za rem.

Kasa międzynarodowa PKP:
— Proszę o bilet do Pragi.
— Paszport?
— Nie mam. Można na do wód. Był komunikat... mam bilet...
— Bez paszportu za granicę? Co za ludzie? Nie zabieraj pan czasu! Następny!

18.50. Na dziesięć minut przed rozpoczęciem koncertu stadion jest wypełniony w ok. 50 proc. Jestem trochę zawiedziony — zapowiadało się dużo lepiej.

Na płycie, do stoiska z napojami, hot dogami, płytami gigantyczne kolejki. Po kubek wody czeka się około godziny

dla Havla

— aż dziw, że tak krótko. Do toalety czas oczekiwania wynosi kilka minut. Na trybuny wchodzi kolejne grupy widzów — nie wolno wnosić butelek, ostrych przedmiotów, aparatów, kamer, parasoli... Tłum rośnie.

Vaclav Havel: „Często słuchałem Stonesów. Takie piosenki jak „Satisfaction” trudno zapomnieć. Jeśli ich koncerty są tak dobre jak się o nich mówi i pisze, nie mogę się doczekać, kiedy ich zobaczę na własne oczy.”

Koncert zaczyna się niemal punktualnie. Na rozgrzewkę grają Czesi. Później przerwa i „The Gun” — żeby wszystko drżało z niecierpliwości i oczekiwania.

Każdy samochód, każdy autokar wjeżdżający na zaplecze sceny wywołuje brawa i okrzyki.

Atmosfera gęstnieje. Tłum też. Napięcie rośnie. Dużo pracy mają służby porządkowe. Przez tłum raz po raz przedzierają się noszowi, sanitariusze, karetki. To już ponad pięć godzin oczekiwania — w toku i upały; na stojąco; z niewielką ilością wyciekającego plynu, bez jedzenia, często po kilkunastu godzinach podróży.

Plakat reklamowy koncertu w Pradze:
— „Rolling Stones — Urban Jungle — Europe '90.
Tanks are rolling out, The Stones are rolling in, (czołgi wyjechały, kamienie się wta- czają), Praha — Strahov 18.08. 1990”.

Wreszcie zaczyna się. Narastająca fala muzyki płynie od zaciemnionej kilkudziesięciometrowej sceny. Na rusztowaniu zapalają się czerwone lampy — jak światła pozycyjne kosmicznego statku. Dołączają niebieskie, białe, zielone. Muzyka narasta. To już nie statek. To zarays zamczyska — przecież „Urban Jungle” to miejska dżungla — taki jest tytuł koncertu. Stąd ta scenografia...

Eksplozja fajerwerków, feeria światel i... „Start me up” — wystartuj mnie — jeden z wielkich przebojów.

W kilkunastominutowej ciemności nie widać było ani płyty, ani trybun. W blasku reflektorów widok jest imponujący — cały stadion wypełniony po brzegi falującym tłumem. Morze głów i uniesionych rąk oświetlonych kolorowymi światłami. Granat z błękitem, żółć z czerwienią, turkus ze wszystkimi razem; fascynujące mieszanki barw. Refleksy świetlne są kierowane elektronicznie — przez komputer. Zbliżenie tego, co dzieje się na scenie pokazują trzy ogromne ekrany. Stadion co chwilę cichnie zaskoczony i urzeczony kolejną mieszanką kolorów, po czym wybucha aplauzem równym sile kolumn wypełniających doskonałym dźwiękiem nieckę stadionu. Brzmienie jak z płyty, kolory jak w kalejdoskopie i... niespodzianki.

Wśród światel i muzyki na scenie pojawiają się monstrualnych rozmiarów kobiety — 10-może 15-metrowe. Jedna w ubraniu sportowym siedzi nisko — tuż nad widownią. Druga — w obcisłej sukience, jakby żywcem wyjęta z lat sześćdziesiątych, siedzi na kolumnie i w takt muzyki buja butem wiszącym na palcu u nogi. Z końcem utworu dmuchane lalki znikają błyskawicznie, a wkrótce ich miejsce zajmują dziwne stwory — psopodobni mieszkańcy „miejskiej dżungli”. I to wkrótce znika przy okrzykach szalejącej publiczności.

Po dwóch godzinach cały stadion pulsuje w rytm perkusji — „To tylko rock and roll, ale to lubię” śpiewa Mick Jagger, a z nim 150 tysięcy fanów.

Gasną światła. Koniec. Ale nie dla publiczności. Nie było jeszcze „Satisfaction”, a wszyscy wiedzą, że bez tego koncert Stonesów jest nieważny. Kilkunastominutowa owacja i... jest. Ostatni utwór trwa prawie dziesięć minut. Chóralnym śpiewem najsławniejszego utworu świata kończy się „Święto Stonesów” w Pradze. A może było to raczej święto dwóch pokoleń ludzi wychowanych na tej muzyce?

Zgasły światła. Zostały tylko obrysy rusztowania i muzyka — ale jakże inna. Podkład symfoniczny stanowi doskonale tło dla pokazu sztucznych ogni. Mimo że ukochana kapela nie gra już ukochanej muzyki, nikt nie wychodzi. Na niebie wykwitają płomienne kwiaty — czerwone, zielone, żółte, białe, niebieskie, wreszcie wszystkie razem. I cisza...

Wolno, w spokoju i ciemności płyną strumienie ludzkie do domów. Niektórzy będą w domu za kilka minut. Inni za godzinę lub dwie. Nas czeka cała noc jazdy.

Centrum Pragi wciąż żyje chociaż jest już druga w nocy. Czynne są kawiarnie, winiarnie, uliczne ogródki. Kilka kilometrów dalej nie widać żywego ducha. Przebijamy się przez labirynt praskich ulic. Na północ — ku granicy

MAREK JUŚKIEWICZ

Z historii innowierstwa

XX zjazd uwolnił większość wierzących z GULagu. Lecz religijny boom, który się wkrótce rozpoczął, pomimo zamachu na ideologiczny monopol partii, jawnie przeczył objawionemu zbliżaniu się komunizmu. (Prócz tego, z obiecanych plodów „nowego kursu”, jak się zdaje, znacznie łatwiejsze do osiągnięcia było właśnie „wykorzenienie przesądów” niż zapewnienie obfitości towarów). Wydawało się, że łatwo będzie „okiełznać” prawosławnych, muzułmanów i katolików. Wystarczyło zamknąć albo zburzyć ich świątynie. Lecz znaczna liczba wiernych uciekła potem do wspólnot, gdzie modlitewny domami stawały się zwykłe mieszkania współwyznawców... I w 1961 r. pojawiła się „Instrukcja o zastosowaniu ustawodawstwa o kultach”, potwierdzona przez Radę Ministrów ZSRR. Prócz zakazania dobroczynności, pielgrzymek wiernych do „tak zwanych świętych miejsc”, religijnych procesji, obrządków i ceremonii pod gołym niebem, a

prawa o wolności sumienia nie wiadomo: zezwolić wierzącym na dobroczynność czy też zakazać, dać im prawo własności czy też nie. Lecz ponieważ w radzieckim prawodawstwie do tej pory obowiązuje zasada „co nie jest dozwolone, jest zakazane”, sprawa ta, jeśli „rozpatrywać ją na przykładzie konkretnych ludzkich losów”, może mieć powiedźmy taki aspekt: czy posadzić znowu Pawła i Władimira Rytnikowów, jeśli powtórnie, podobnie jak w r. 1980, zorganizują letni obóz dla dzieci aresztowanych baptystów? Czy posadzić znowu na 3 lata W. Andruszenkę, jeśli, jak w r. 1986, zabierze się za nielegalny... wypiek opłatków?

Lecz główny szkopał w dyskusowanym projekcie stanowi problem zezwolenia na religijną propagandę.

Dziewiętnastoletnia baptystka Aida Skirnikowa była aresztowana w 1968 r. w noc noworoczną, kiedy kolportowała na ulicach Leningradu karty pocztowe z kwiatami. Na odwrocie kart wypisała cytaty z Biblii. Rok śledztwa, 3 lata obozu.

Zastrzyk przeciw wierze

Hare Kriszna, Hare Rama — święte imiona Boga, śpiewane przez zwolenników Międzynarodowego Towarzystwa Poznania Kriszny w ZSRR oraz wegetarianizm stały się też ich „znamionami przestępstwa”. Kryzysy procesy lat 1982—1986 wstrząsnęły zachodnim światem. Ponad pięćdziesiąt osób — przede wszystkim młodzi intelektualiści Moskwy, Leningradu i Erewania — zostało skazanych na trzy, cztery, pięć lat pozbawienia wolności z art. 227kk — „spowodowanie uszczerbku zdrowia obywateli pod pretekstem wykonywania obrzędów religijnych”. (Ostatni więźniowie zostali zwolnieni dopiero w grudniu 1988 r.). Wyroki zawierały standardową formułkę: „Modlili się, co prowadziło do utraty poczucia rzeczywistości, halucynacji i wyniszczenia nerwowo-psychicznego. Nakładali obywateli do powstrzymywania się od używania w pokarmie cennych biologicznie produktów, co negatywnie odbijało się na zdrowiu i zdolności do pracy”.

Dzisiaj, czytając materiały tych procesów, samemu zaczyna się „tracić poczucie rzeczywistości”. Sędziom nie przeszkadzało, że „ofiary kryzysiatów” wyrwane z ich szeregów przez śledztwo, odmawiały uznania ich za ofiary. „Czy miliony Hindusów, wyznających naukę Kriszny, to także ofiary?” — pytali podczas procesu oskarżeni...

„Prokurator dowodził, że jesteśmy antysowieckimi faszystami, fanatykami — opowiada Suren Karapetjan — nie chcieli nas wysłuchać. Było tak, jak w roku 1937. Jakież nawiedzenie... Zaspiewaliśmy na procesie imiona Boga — Kriszna uczy, że tak trzeba czynić w trudnych chwilach. Uznali nas za wariatów i skierowali do specjalnej lecznicy psychiatrycznej.”

Moskiewską kryzysiatkę, specjalistkę do spraw wschodu, Olę Kisielową sądzono w r. 1983, gdy była brzemienna. W domu pozostawiła dwoje maleńkich dzieci. Trzecie dziecko, które urodziło się w 4 dni po procesie, zmarło w karnej kolonii. „Nie trzeba się nade mną litować — mówi Olga, powstrzymując łzy — trzeba współczuć tym, co nas sądzili... Przesłuchiwała mnie kobieta — sędzia śledczy. Opowiadałam jej o wierzeniach wedyjskich. Była zasluchana: „Ach, jakie to interesujące! Rozumiem, że pani jest niewinna...” Rozumie, ale sama doбира artykuł kk”!

Przedstawione wyżej fakty to tylko wierzchołek góry lodowej, tylko naszkicowanie przyszłych badań nad epoką wojującego bezbożnictwa, nie po to, powtarzam, aby raz jeszcze, aby przerazić przeszłość. Pomyślmy — prawne wyzwolenie naszych sumień jeszcze nie nastąpiło. Zmienił się polityczny wiatr — i wczorajsze prześladowania rozpoczyna się z nie mniejszym rozmachem, skoro prześladowcy „nie kierują się zasadami” i niektórzy uśmiechają się, a oni zaciskają zęby tolerując obecnie religijny boom. A co ważniejsze, będą miały podstawę prawną. Do tej pory nie został zmieniony artykuł prawa z 1929 r. „O religijnych wspólnotach”, zakazujący wiernym tworzenia „kas pomocy wzajemnej, spółdzielni, dziecięcych, młodzieżowych, żeńskich zebrań i kół modlitewnych, organizowania wycieczek, ogródków dziecięcych, bibliotek, czytelni, sanatoriów i pomocy lekarskiej...”. Prócz tego „swoboda sumienia” nie ma faktycznie miejsca. Religijne wspólnoty mają wielkie trudności z rejestracją. Literaturę religijną trzeba jak dawniej wydawać w podziemiu. Wierni jak poprzednio muszą ogłaszać głodówki, aby zwrócić im świątynie. Nie zrehabilitowano również wierzących represjonowanych po XX Zjeździe.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

PS. Tekst ten ukazał się niedawno w tygodniku „Moskowskie Nowosti” jako głos w dyskusji o wolności sumienia w ZSRR.

Prześladowani za wiarę

DMITRIJ RADYSZEWSKI

także w mieszkaniach i domach wiernych — co samo w sobie skazywało religijne wspólnoty na uwięź — znajdował się także następujący punkt: „Nie zostaną zarejestrowane religijne wspólnoty i grupy wiernych, należące do sekt, których wyznawana wiara i rodzaj działania ma wyznańcowy i fanatyczny charakter: jehowici, zielonoświątkowcy, staroobrzędowcy, cerkiew prawosławna ortodoksyjna, adwentyści-reformiści, muraszkowcy itp.”.

Kolejne wielkie prześladowanie chrześcijan zbiegło się z wysłaniem pierwszego człowieka w kosmos...

„Apostolskie wyroki”

16 maja 1966 r. przed budynkiem KC KPZR w Moskwie była rozpedzona demonstracja, na której zebrało się około pięćset baptystów żądających poniesienia „religijnych represji”. Był to jedyny przypadek jawnego rozpedzenia protestujących wiernych, pozostałe tysiące przypadków pogromów, którym podlegali w latach trzydziestych, dotknęły tylko modlących się potajemnie, którzy przeszli do podziemia. Walczono z tym „bezprawiem” odpowiednimi metodami. Adresy domów modlitwy i podziemnych klasztorów ustalano jak rezydencje CIA: przez śledzenie, podstawianie agentów, podsłuch telefoniczny. Od 1962 do 1970 r. modlitewne zgromadzenia samych tylko baptystów rozpedzano 986 razy; z towarzyszącymi temu aresztami, rewizjami, pobiciami i nakładaniem grzywien. W tych latach sami tylko baptysty zapłacili na rzecz skarbu państwa za organizowanie zebrań religijnych grzywny na sumę 94.300 rubli.

Prawie wszystkich wierzących sądzono z tego samego art. 142: „Naruszenie prawa o rozdziale Cerkwi od państwa”. Jednakowa była także procedura sądowa: za zamkniętymi drzwiami (przed krewnymi ukrywano kłedy), z głównymi świadkami oskarżenia — milicjantami i ormowcami. Różne były jedynie powody, wyroki i „podchody” — ktoś stał przed trybunałem raz, ktoś inny dwa, trzy, cztery razy. (Posiedzi, to się zastanowi — uważali „stróża prawa”. A działa się na odwrót: wracali jeszcze bardziej utwierdzeni w wierze). Za „pasożytnictwo” łącznie z art. 142 sądzono zwykle duchownych będących na utrzymaniu parafian. Sądzono za dobroczynność i za pomoc okazywaną rodzinom poszkodowanych współwyznawców... Dzisiaj, podczas dyskusji nad projektem

Kryzysiatka Władimir Krytskij otrzymał drugi wyrok za „propagandę religijną”, jeszcze przed zakończeniem pierwszego: opowiadał więźniom o wierzeniach wedyjskich.

Nie powołuję się na prawa człowieka. Chcę po prostu raz jeszcze przypomnieć: podstawa wielu religii, w szczególności baptyzmu, jest działalność apostołska — szerzenie w świecie słowa Bożego. Zakaz propagandy religijnej znowu postawi tysiące wierzących poza prawem.

KBB — Komitet Bezpieczeństwa
Baptystów

Gdybym sam nie rozmawiał z kierownikiem KBB (wciąż jeszcze woli nie afiszować się ze swym nazwiskiem), gdybym nie widział na własne oczy dokumentów i fotografii, nie uwierzyłbym, że coś takiego jest możliwe.

— W początku lat 70-tych postanowiliśmy w Moskwie coś przeciwstawić KGB — opowiada mój rozmówca. Ich przewaga polegała na tym, że mogli nagle zjawić się na religijnym zgromadzeniu, wdrzeć się do domu, niespodziewanie zaskoczyć. Pracowali oni — „religijni” wydział 5. departamentu KGB — niedbale, przekonani o swej wszechmocy. Poznaliśmy trasy chodzących za nami szpicli, ustaliliśmy ich telefony, nawet ich sfotografowaliśmy i posłaaliśmy wszystko do KGB. Mieliśmy nadzieję, że to zrobi odpowiednie wrażenie...

Od 1979 do 1987 r. KGB, dokonując 350 rewizji i 70 aresztowań, mimo wszystko nie mogło zniszczyć podziemnej drukarni adwentyistów „Wierny Świadek”. Kilkakrotnie było wykryte i rozbite, ale powstawało na nowo podziemne wydawnictwo baptystów „Chrześcijańskie”, które pomimo to opublikowało pół miliona egzemplarzy Ewangelii (w siedmiu językach), tysiące religijnych zbiorów „Braterskich kartek”, „Zwiastuna prawdy” i biuletynów Rady krewnych więźniów.

Gagik Bunijatjan, kryzysiatka: „Żeby dowiedzieć się, gdzie mamy „Bhagawadgitę” byłem torturowany w 1983 r. w erewańskim śledczym karcerze. Przycisnąwszy mi tył głowy do ściany, podsuwali mi do twarzy rozpaloną kuchenkę elektryczną. Rzucali mnie na podłogę i kopali...”

Dać wierzącym wolność zakładania własnych wydawnictw i prawo posiadania środków masowej informacji czy też nie dać — łamią sobie teraz głowy autorzy projektu prawa.

CHCESZ WYGLĄDAĆ ELEGANCKO?

MODNY SWETER,
ATRAKCYJNA SUKIENKA

i
INNE WYROBY Z WEŁNY LUB ANILANY

KUPISZ TANIO

w sklepach firmowych

ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU
DZIEWIARSKIEGO
„IWONA”

LÓDŹ, ul. Sienkiewicza 65
ul. Gdańska 57

o r a z

NA KIERMASZACH

organizowanych przy

ul. Gdańskiej 79,
ul. Dąbrowskiego 37

Jednocześnie informujemy, że prowadzimy sprzedaż hurtową na dogodnych warunkach płatniczych dla wszystkich odbiorców.

Zgłoszenia przyjmuje dział zbytu: Łódź, ul. Sienkiewicza nr 65, tel. 36-80-85.

PEGROTOUR

PROPONUJE PAŃSTWU

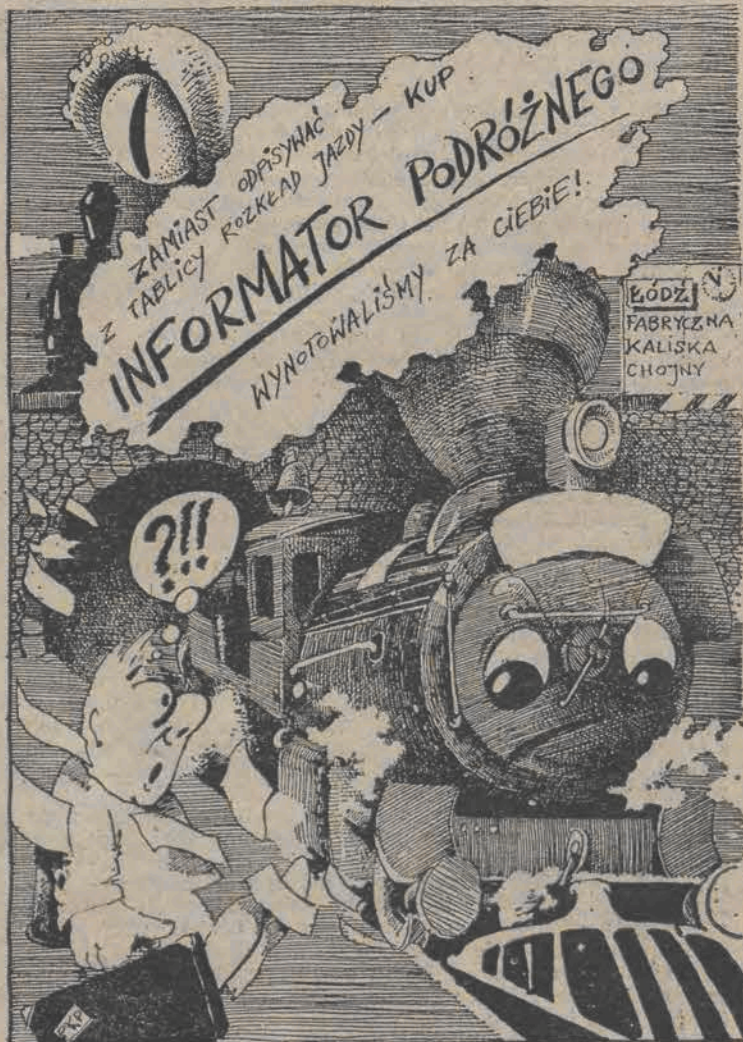
- ▶ WYCIECZKI i WCZASY pobytowe do krajów: CSRS, Węgry, ZSRR, Mongolia, Bułgaria, Berlin Zach., RFN, Austria, Jugosławia, Hiszpania, Grecja, Turcja, Egipt, Tajlandia, Tunezja, Izrael, Meksyk, Peru — Chile — Boliwia, Kanada.
- ▶ KURSY JEZYKÓW za granicą (angielskiego w Londynie, niemieckiego w Berlinie Zachodnim).
- ▶ REJSY: Finlandia — ZSRR oraz BRL — Turcja — Grecja, Egipt, Cypr.
- ▶ POŚREDNICTWO paszportowe, wizowanie paszportów na wyjazdy indywidualne do RFN i Izraela.

Informacja i sprzedaż:

„PEGROTOUR” S. A.
Łódź, ul. Kilińskiego 59/63
(przy hotelu „Centrum”)
tel. 33-21-51, tlx 884115.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!!!

Wydany przez
DZIENNIKARSKĄ SPÓŁDZIELNIĘ PRACU
„ODGŁOSY”



Do nabycia
W KIOSKACH „BUCHU”
w okolicach łódzkich dworców.
CENA: 1.800 ZŁ.

FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO

„POLMO”

Łódź, ul. Stefana Przybyszewskiego 99

O F E R U J E:

1. Budynek produkcyjny pięciokondygnacyjny bez parteru z możliwością oddzielenia wejścia od terenu zakładu — o powierzchni użytkowej 8216,0 m kwadratowych;
2. Budynek dwukondygnacyjny stolówki z kompletnym zapleczem użytkowym i produkcyjnym — o powierzchni użytkowej 377,0 m kwadratowych.

OCZEKUJEMY PROPOZYCJI:

- wspólnego przedsięwzięcia
- dzierżawy.

Forma i warunki do uzgodnienia.

Informacje telefoniczne: 81-41-40, wew. 228 i 337.

Rzeźbienie Historii

Jak czuje się Artysta, kiedy dowiaduje się, że dla jego pracy, kiedyś wyróżnionej i cenionej, nie ma miejsca w nowych czasach? Że Pomnik, który kiedyś projektował, ma zostać zlikwidowany? Czy nie żał mu, że jego dzieło pójdzie na marne?

W 1961 roku rozpisano ogólnopolski konkurs na Pomnik Rewolucjonisty, nadeszło na niego 60 prac. Natrętna otoczka polityczna przeszkadza w projektowaniu. Kiedy robi się rzecz, której się nie chce, trzeba sobie wytworzyć dystans, poczuć się kimś innym. Nie, rzecz jasna nikt Go nie zmuszał do udziału w konkursie. To była okazja do zmierzenia się z oporną materią, do porównania swoich możliwości z umiejętnościami innych artystów. A to wciąga twórcę. Wspólnie z żoną wygrał Artysta konkurs, a komisja ministerialna przyznała im 100-procentową wycenę za pozium.

Kiedy przyszło do realizacji Pomnika, do Komitetu wezwano niemal wszystkich dyrektorów fabryk w mieście. Sekretarz oznajmił im, że potrzeba zebrać 6 ton brązu na odlaw. Dyrektorzy uznali to za niewykonalne, ponieważ cały złom trzeba było odsyłać do huty i fabryki były z tego rozliczane. Sekretarz wskazał wtedy na jednego z nich i powiedział: „Moł drodzy, dyrektor... (tu wskazał palcem) narobił już tyle kantów i nigdy go jeszcze za to nie wsadzili. Zapytajcie jego jak to trzeba zrobić”. Zapowiedział przy tym prezydentowi Miasta, że jeśli Pomnika nie będzie na czas, to „my was tam postawimy”. Pomnik odsłonięto z należąną pompą, o autora nikt się nie zatroszczył. To była polityczna sprawa...

Nie miał Artysta szczęścia, Pomnik Rewolucjonisty nie jest jego jedynym projektem, z którym życie obeszło się mało łaskawie. Przed wojną zdobył wyróżnienie w konkursie na Pomnik Marszałka, Marszałek siedzący na koniu, z buławą w dłoni miał stanąć w otoczeniu półkolistej kolumnady na placu w Stolicy. Prezydent Miasta kazał przerobić na pracownię jedną z zajezdni tramwajowych, dostarczono potrzebne materiały. Nad makiętą pracowali ponad rok. Projekt miał być realizowany w Jugosławii. Przyszła wojna...

Kiedy do Miasta, w którym Artysta spędził okupację, weszła Zwycięska Armia, w parku powstał cmentarz. Wykopano rów, pochowano w nim poległych żołnierzy i zalano betonem — tak na wszelki wypadek. Obok stanął Pomnik Wdzięczności. W niedługim czasie podłożono tam bombę, która zniszczyła środkową część kompozycji. Ogłoszono konkurs na projekt płaskorzeźb do Pomnika. Realizacja odbywała się pod opieką Tajemniczych Panów. W Zagranicznym Radiu grozili, że policzą się z autorem rekonstrukcji. Na szczęście udało się Artystcie przeżyć. Minęło już tyle czasu...

Równocześnie z konkursem na płaskorzeźby ogłoszono konkurs na Pomnik Naczelnika. W myśl zasady: jeden pomnik dla nas, drugi dla was. Pewien rzeźbiarz przywołał z dawnych kresów figurę konia. Koniecznie chciał wsadzić Naczelnika na tego konia. Długo przekonywał radę miejską, że wodzowie powinni być tak przedstawiani i popierał swe słowa cytatałami z radzieckich książek. Znudzony Działacz, który słuchał jego wywodów, nie wytrzymał: „Ja nie byłem za tym, żeby postawić ten pomnik, tak teraz jestem pierwszy, żeby odbudować jego starą wersję”. Odnaleziono za granicą autora i Naczelnik stanął w tym samym miejscu, gdzie był przed wojną.

Artysta zaprojektował kiedyś Popiersie Kompozytora. Miało stanąć na ulicy noszącej imię tegoż Muzyka. Pewnego dnia został Rzeźbiarz wezwany do Komitetu, gdzie Sekretarz zwrócił się do niego bezceremonialnie: „Słuchaj, my tego Kompozytora tam nie postawimy. To nie dla niego. My go bardzo szanujemy, a tam jest ta znana knajpa. Tam postawimy tego pijaka Poetę. Jemu lokal nie zaszkodzi.” Wrócił Artysta do

pracowni i musiał zaprojektować Popiersie Poety, a Kompozytor ostatecznie stanął gdzie indziej — w parku koło dworca kolejowego.

Startował też Rzeźbiarz w konkursie na Pomnik Wielkiego Rewolucjonisty. Pierwszej nagrody nie przyznano, druga przypadła w udziale jemu i jego żonie. Na życzenie Najpoważniejszej Osobistości konkurs powtórzono. Zwyciężył projekt podejrzanie podobny do pomysłu Artysty. Autorem był znajomy Osobistości. Rzeźbiarz nawet się cieszył, że nie wygrał, dzięki temu ominęła go żmudna realizacja. Pomnik, który stanął w centrum Stolicy nie został odlany z brązu. Ponieważ był złożony z kawałków cementu, przy demontażu rozszarpał się.

Dzięki szachrajstwu w konkursie Artysta nie musiał oglądać, jak niszczą jego pracę. A co do jego Pomnika Rewolucjonisty, który chcą zlikwidować? Nie ma żadnych sentymentów. Przechodząc obok patrzy nań jak na obcą rzeźbę. Podobno po latach to odchodzi od człowieka. Artysta uważa, że jeśli Pomnik zdejmuje w całości, przechowują, to żadna różnica. Pamiątka zostaje. To jest jedyna tego typu realizacja w Mieście. Drugiej takiej wieloosobowej kompozycji pewnie już nie będzie. Rzeźbiarz twierdzi, że nie czuje się pokrzywdzony, nie żał mu, ani nie jest rozczarowany. Wyrażam niedowierzanie, a Artysta nie stara się mnie przekonać...

Na podstawie wspomnień artysty rzeźbiarza Jerzego Mazurczyka

opracowała MONIKA MATUSZAK

MŁODZIEŻOWA SPÓŁDZIELNIA PRACY

„PRYZMAT”

w Łodzi, ul. Zakątna 51

tel. 33-53-98, 33-48-16

Z A P R A S Z A

do swojej

HURTOWNI ARTYKUŁÓW CHEMICZNYCH

P o l e c a m y :

- Proszki — Balbinka, Cypisek, Pollena, Zorza, As.
- Rewelacyjny płyn „Wisi”
- Płyn do kąpieli Monsun.
- Sól do kąpieli — „Kinga Specjal” w różnych kolorach.
- Mydła — Lolos, Vega, Monsun, Kea, Fa (zielone, niebieskie)
- Płyn do naczyń — „Ludwik”, „Jarek”, „Elita”.
- Płyn do szyb „Autovidol”
- Kompozycje zapachowe (odświeżacze powietrza).
- Preparat owadobójczy „Muchozol”
- Preparat do zwalczania prusaków, mrówek produkcji USA.

Specjalna oferta dla zakładów pracy, zakładów pralni-czych, kawiarni, restauracji

- proszki do prania i płyny do mycia, w opakowaniach przemysłowych po atrakcyjnych cenach.

PRZYJMujemy ZAMÓWIENIA

na

ZNICZE NAGROBKOWE.

Atrakcyjne ceny. Przy zwiększonych zamówieniach rabat. Bezpłatny transport na terenie Łodzi. Możliwość negocjacji ceny oraz przy zakupach powyżej 1,5 mln zł, możliwość zapłaty w 2 ratach.



Optycy · Ajenci · Handlowcy!

PRZEDSIĘBIORSTWO OBROTU ARTYKUŁAMI FOTOOPTYCZNYMI.



FOTOOPTYKA

w Łodzi, ul. Próchnika 1

O F E R U J E

DO SPRZEDAŻY:

1. Najtańsze soczewki okularowe.
2. Tanie oprawy okularowe z importu.
3. Automaty szlifierskie.
4. Tarcze diamentowe do szlifierek.
5. Części zamienne do automatów.

Stosujemy wszystkie możliwe formy operacji handlowych i płatności. Ceny zbytu i hurtowe oraz rabaty w zależności od wielkości zakupu. Zachęcamy do nawiązania stałego kontaktu z naszymi branżystami:

ŁÓDŹ, ul. WIECKOWSKIEGO 43/45,
tel. 32-43-45, 32-38-14.

3.

Podczas rozprawy Landru wysilał się na dowcipasy kwitowane huraganowym śmiechem widzów. Jeśli kobiety, z którymi się stykałem, pokpiwał, mają do mnie o coś żal, proszę, niech teraz złożą skargę. Bronił go Moro Giaferri, wybitny paryski adwokat. Próbował dowiedzieć, że jego klient, jest niestety szaleńcem. Landru mu przerwał, coś za dużo pan mówi o mojej głowie, żałuję, że nie mam jeszcze jednej, bo miałby pan wtedy większe pole do popisu.

Jak Landru uśmiercał swe ofiary?

Gdzie schował ciała pomordowanych?

Fernande Segret zeznała, że w willi w Gambais trzymał fuzję myśliwską i dwa pistolety.

Domek w Gambais wybebeszono od góry do dołu. Kopano na strychu. W piwnicach pozrywano podłogi. Przeorano metr po metrze cały ogród. Powyrywano zbutwiałe liście ze ścian. Rozebrano żelazny piec w kuchni i dwa duże kafflowe w pokojach. Zajrzano nawet na dach, by poddać chemicznej analizie popiół i sadze z komina. Nie wiele to dało. Ciała rozplynęły się w powietrzu. Żadnego po nich śladu. Nie doszukano się też broni.

Rzeczoznawca dr Paul upierał się jednak do końca przy swoim. Landru mógł zwłoki poćwiartować i spalić je w kuchennym piecu. Technicznie było to możliwe. Ta hipoteza zyskała poparcie w zeznaniach sasiadów. Z komina willi pana Landru wałił często gęsty i dziwnie śmierdzący dym. Podchodził aż pod remizę strażacką. Taki trupi odór. Nie do zniesienia. Na zadawane mu w tej sprawie pytania pan Landru odpowiadał, że spala stare i zużyte szmaty.

Wielu sądziło, że z braku jasnych i bezspornych dowodów winy, sędziowie koniec końców uniewinnią Landru. Gazety rozpisywały się o eksperymencie Maro Giaferri. W pewnej chwili obrońca zawołał do sędziów, panowie, będziemy za moment świadkami sensacji. Bocznymi drzwiami wejście do tej sali madame Collomb, którą oskarżony miał rzekomo uśmiercić. Sędziowie w okamgnieniu odwrócili wzrok ku drzwiom. Adwokat triumfował, więc jednak mamy te wątpliwości, mamy.

Ciekawe, jeden tylko Landru nie odchylił głowy i na drzwi nawet nie zerknął.

Uniewinnienie Landru, o nie, do tego nie wolno było dopuścić.

Do akcji wkroczył minister sprawiedliwości. Osobnym zarządzeniem przeniósł rozprawę ze sceptycznego Paryża do Wersalu. W tym niewielkim miasteczku na ławie przysięgłych zasiedli bogobojni farmerzy, stateczni emeryci, zapracowani stolarze i szanujący ład i porządek handlarze win i zieloniny. Wszyscy oni wierzyli w prawo i niewzruszone zasady moralne. Zabijeś, sam połóż głowę.

Dość, że ministerialna decyzja z punktu rozstrzygnięcia o losie Landru. Cało ujęć już nie mógł.

Na stole sędziowskim jako dowody winy spoczywały fotografie zaginionych kobiet, ich książki, metryki, biżuteria i odnalezione w willi podniszczone sukienki. To było wszystko. Zwłok nadal nie odnaleziono. Było tego dużo i mało zarazem. Dla formalistów i pedantów nie ulegało wątpliwości, że to nie dowody, tylko poszlaki. Dla obdarzonych intuicją i wyobraźnią były to dowody winy nie do obalenia.

4.

Oglądano wielkie widowisko jak w najlepszym teatrze.

Z wybuchami śmiechu szły w parze jęki rozpaczcy, okrzyki gniewu ginęły w raptownej ciszy, ciche zawołania mieszały się z czymś stłumionym chichotem. A tam na ławie oskarżonych zastaw? W nieruchomej pozie Henri Desire Landru. Pod maską obojętności chował ogromne napięcie. Był u-

ważny, czujny, nieustannie miał się na baczności i w każdej chwili był gotów do ciężkiej riposty. Walczył o życie.

Szczelnie owinięty w szary makintosz o wojskowym sznycie był niczym robak zamknięty w butelce i wystawiony na łup ciekawskiej widowni.

Jeden z detektywów oświadczył, że w ogrodzie willi w Gambais odkopano właśnie dwa pudełki zaginionej madame Marcadier. Ktoś psy zadusił nawoskowanym sznurem sporej grubości. Przewodniczący kompletu sędziowskiego Gilbert natychmiast uniósł swą majestatyczną głowę rzymskiego senatora i huknął w stronę oskarżonego.

— Może tak samo pozbywał się pan kobiet? Wpierw uduszenie, potem ćwiartowanie i topienie ciał w odległych jeziorach.

Landru, morderca kobiet

W odpowiedzi Landru nie raczył nawet wrzucić ramionami.

Nadszedł dzień ogłoszenia wyroku.

W sali sądowej zjawili się karykaturzyści, malarze i chmara fotoreporterów. Każdy z nich pragnął uwiecznić ten jeden moment w życiu Landru, kiedy usłyszy wydany nań werdykt. Jak zareaguje ten chłodny i opamiętany mężczyzna o wyglądzie mnicha z syberyjskiego monasteru? Akt oskarżenia zarzucił mu zamordowanie jedenastu kobiet. A jeśli ofiar było dużo więcej? Wszystkie kochały go bałwochwalczo.

Po odczytaniu wyroku sala opróżniła się momentalnie.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Landru gorąco podziękował swemu obrońcy.

— Stoczył pan porywającą walkę. Ale jak w każdej, także w tej, są zabić. Gratuluje. Inna sprawa, że gdyby nie było złych ludzi — nie byłoby też dobrych adwokatów.

Minister zarządził, by egzekucja odbyła się z dala od gawiedzi, za szczelnym kordonem wojska i żandarmerii.

Z pierwszym świtem na więziennym dziedzińcu pokazał się Landru, odziany w długą po kostki, szarą, śmiertelną szatę. Podążył

pewnym krokiem do gilotyny z grymasem szyderstwa na twarzy. Przed rusztowaniem oznajmił niespodziewanie, że chciałby zamienić jeszcze parę słów ze swym obrońcą. Zgodzono się od razu, ale tak, nie ma przeszkód. Może Landru w obliczu nieuniknionej śmierci przyzna się w końcu do winy i okaże skrucę? Landru nachylił się do ucha adwokata, który też nie krył zaciekawienia.

Co Landru ujawnił? Nie wiadomo. Maro Giaferri nigdy powierzonego mu sekretu nie zdradził.

Kiedy Landru stanął pod gilotyną, zaproponowano mu zwyczajnego papierosa i kieliszek rumu.

Wisielczy humor i tym razem go nie opuścił.

— Panowie wybaczą, ale nigdy nie piłem ani nie paliłem. To jest szkodliwe dla zdrowia.

Świadkowie egzekucji wspominali potem, że w odciętej głowie Landru oczy długo jeszcze mrugały, a usta rozwierały się, jakby chciały coś powiedzieć.

5.

Od tamtych dni minęły dziesiątki lat. I oto Landru jakby powstał z martwych i publicznie przyznał się do winy. Może jednak po kolei. Podczas głośnego procesu w Wersalu asystentem obrońcy był August de Trenil. Landru zauważył, że młody prawnik wyraźnie z nim sympatyzuje. Z wdzięczności zostawił mu odręczny rysunek kuchennego pieca w jego willi w Gambais. Pod tym rysunkiem Landru napisał: „Oto piec, w którym spalono niejedną rzecz. 8 października 1921 r. Landru”.

De Trenil zmarł w 1967 r. Przed zgonem przekazał ten szkic córce. Proszę, zachowaj, to może jeszcze kiedyś się przyda. Rysunek udostępniła szerokiej publiczności francuska telewizja w maju 1984 r. Nadano wtedy dokumentalny reportaż o Landru właśnie, jednym z największych zbrodniarzy wszystkich czasów. Fachowcy orzekli, że rysunek jest dowodem winy Landru. Potwierdza tezę ogłoszoną na procesie przez dr. Paula.

Landru pograżyła kózka bródka, którą tak starannie pielęgnował. Gdyby był ją w porę zgolił, madame Lacoste nigdy by go nie rozpoznała. Zgubiła go też pedanteria. Jako były księgowy odnotowywał każde spotkanie z tą czy inną kobietą i zapisywał skrupulatnie związane z tym wydatki. Jego notatnik okazał się owym luźnym końcem niteczki, wiodącej niechybnie do kłębka.

JAN BABIŃSKI

SKŁAD TARCICY

PHUP „MAXBUD”

tel. 14-12-65 telex 885551 max bf

Starowa Góra, ul. Okienna 8

— boczna od ul. Zagłoby, na granicy Łodzi i Starowej Góry
(dojazd ul. Rzgowską, autobusami C, 70, 268 i 268 bis,
przystanek za Szpitalem Matki Polki — do składu po przeciwnej stronie
ul. Rzgowskiej ok. 500 m).

- sprzedajemy drewno w postaci desek, bali, krawędziaków i listew,
- bezpłatnie dokonujemy załadunków,
- dostarczamy drewno również własnym transportem (rachunki),
- obróbkę zakupionego drewna można zlecić na miejscu,
- dysponujemy też drewnem powietrznie suchym,
- zapewniamy największy wybór i życzliwą obsługę,
- zapraszamy codziennie od 7 do 17 (wszystkie soboty od 7 do 13).

Traf chciał, że pani Lacoste zajęła tamtego dnia do „Lions de Faience” przy rue de Rivoli w Paryżu. Zamierzała obejrzeć chińskie figurki z porcelany w sam raz na marmurowy kominek z rąk ich złotego tła. Naraz wpadła jej w oko znajoma jakby postać przy kasie. Boże, czyżby to był monsieur Freymet? Przysadzisty, łysina, ciemne oczy i te szybkie, nerwowe ruchy. Na moment zdrętwiała z wrażeń. On czy nie on? Ależ tak, ma czarną brodkę, nieco zakręconą w górę. To on.

Przecisnęła się bez tchu prawie do kasjerki.

Ten pan w długim płaszczu, wykrztusiła zdyszczanym z przejęcia głosem, płacił tu przed chwilą za jakiś komplet. Pewnie z dostawą do domu, bo niczego nie zabrał. Więc błagam o jego adres. To mój przyjaciel z dawnych lat, straciłam go z oczu i chciałybym znajomość odnowić. Kasjerka uśmiechnęła się ze zrozumieniem: nie widzę problemu, służę pani, monsieur Lucien Guillet, inżynier, rue de Rochechouart 76, bonne chance, madame.

Ach tak, pomyślała pani Lacoste. Nazywał się Freymet, a teraz zmienił nazwisko i podaje się za inżyniera. Widocznie palił mu się grunt pod nogami. Wreszcie go odnalazła. Chodziła z nim jej siostra, wdowa po panu Buisson. I odłąd wszelki ślad po niej zaginęła. Co z nią zrobił? Pewnie ukatrupił, bo do tej pory nie daje znaku życia. Obudzili się w niej duch zemsty. Roztrzęsiona wpadła do najbliższego komisariatu.

Dyżurnicy policjant wysłuchał lawiny słów w milczeniu i z niedowierzaniem. Raz i drugi zerknął na rozgorączkowaną kobietę i doszedł do przekonania, że to histeryczka. Niech to licho, trzeba ją gdzieś spławić.

— Tak ważne oświadczenia — wyrzekł z wystudiowaną powagą — składa się wyłącznie w centrall.

W „Centralnym Biurze Policji” wysłuchano relacji wzburzonej pani Lacoste uważnie i z rosnącym zajęciem.

Zastanawiał opis rzekomego inżyniera. Tak wyglądał pewien notoryczny kanclarz, skazany zaocznie w czerwcu 1914 r. na 4 lata ciężkich robót. Tylko, że tamten szwindlarz nazywał się Henri Desire Landru. No nie, trzeba będzie to sprawdzić. W kamienicy uceplonej zbroczą Montmartre pojawiło się przed południem dwóch tajniaków. Zapukali do mieszkania na piętrze. Drzwi uchylił pan Guillet. Na widok agentów rysy mu stężały. Wnet się jednak opanował. Tak, w rzeczy samej nazywa się Landru. Nie przeczy, był już przedtem karany. Zgoda, przebierze się i uda z wyjaśnieniem do komisariatu.

Z kuchni wynurzyła się jego przyjaciółka Fernande Segret. Widząc co się dzieje, wzbuchnęła płaczem. Co za okropne nieporozumienie. Jej narzeczony jest na pewno niewinny. Landru pożegnał dziewczynę czule i wylewnie, recytując z teatralnym gestem... adieu, notre petite table... do widzenia, stolczku nasz mały. Nazajutrz paryskie gazety doniosły na pierwszych kolumnach, że ktoś podejrzan o zabójstwa żegnał się ze swą dziewczyną zwrotem z jakże popularnej opery „Manoc Lescaut”.

Po dwóch dniach komisarz mignął przed oczami dziennikarzy gęsto zapisanym notosem, oprawionym w miękką skórę.

— Te zapiski odkryliśmy podczas rewizji w mieszkaniu pana Landru. Proszę pozwolić, że odczytam kilka linijek: Cuchet, Bressil, Collomb, Buisson, Marcardier, Gullin...

Dziennikarze wyciągnęli szyje. Litania nazwisk, ale co się z nią kryje?

— Wyczytałem nazwiska kobiet — komisarz znów rzucił okiem na notes — które w ostatnich latach w zagadkowy sposób zapały się pod ziemię. Nazwisk jest kilkanaście. Landru spotykał się z tymi damami. Dowodzą tego jego notatki. Jadał z nimi w restauracjach, zabierał do swego domu w podparyskim Gambais, płacił za nie rachunki w kawiarniach, także za bilety do opery i operetki. Zdaje się, że jesteście na tropie niebawomych zbrodni. Tych pań nie ma. Rozwiały się w powietrzu.

— A ciała, odnaleziono je? — zapytał jeden z reporterów, nie wierząc własnym uszom.

Komisarz rozłożył ręce.

— Niestety, nie, to nasz słaby punkt.

— Landru przyznaje się do winy?

— Nie — zaprzeczył komisarz — wszelkie na ten temat pytanie zbywa kpinią i szyderstwem. To twarda sztuka. Będą z nim z pewnością spore kłopoty.

Komisarz udzielił też kilku innych dodatkowych informacji.

Wdowa Cuchet poznała pana Landru w 1914 r. Zaraz potem wyparowała, a wraz z nią ułotniło się kilka tysięcy franków w żywej gotówce. Wdowę Gullin, która zginęła w kwietniu 1915 r. rodzina szacowała na 40 tysięcy franków. Tegoż roku przepadła pani Heon, Madame Collomb widziano parokrotnie w ogrodzie willi pana Landru w Gambais. Potem rozmyła się bez śladu. Ten rejestr można byłoby ciągnąć jeszcze długo.

Landru, morderca kobiet

JAN BABIŃSKI

2.

Z frontu wracali bladzi, wymizerowani i wypłuci żołnierze. Przeżyli. Wyszli cało z piekła krwi, ognia i żelaza. I oto dowiadawali się z prasy, że kiedy gnili w okopach i żarły ich wszy, gdy cierpieli chłód, głód i dziesiątkowały ich pociski, pewien brodac w makintoshu zdążył przez ten czas wyobrazić w ciepłym łóżku prawie trzysta dorodnych kobiet. Mon Dieu, że też innym wszystkim się wieszcie. Jak on to robił, ten niski i niepokajny czelczyna, że rozłożył tyle niewiast.

Landru zachowywał stoicki spokój i naturalne pytanie zbywał pogardliwym milczeniem.

— Jestem człowiekiem honoru — rzucił śledczemu w twarz. — Nic pan ze mnie nie wyciągnie, co by mogło narazić na szwank dobre imię kobiet, które niegdyś znałem.

Gdy podsunięto mu odnaleziony u niego notes, parsknął obraźliwym śmiechem.

— Te notatki dowodzą jedynie mego potwornego skąpstwa. Proszę zauważyć, jak skrupulatnie zapisywałem najdrobniejszy wydatek.

Landru był w młodości uczniem pilnym i posłusznym o głosie dźwięcznym jak srebrne dzwoneczki. Miał buzię aniołeczka. Rychło wpadł w oko proboszczowi. No i młodzieńki Henry zaczął śpiewać w chłopięcym chórze przy kościele Saint Louis. Później, już w wojsku, odznaczał się dyscypliną i sumiennością. Awansował na sierżanta. W cywilu zarabiał jako księgowy. Długie kolumny cyferek. Wpływy, wydatki i bilanse. Pomnóż, dodaj i podziel. Nie, tak dalek być nie może. Czy ma wiecznie dłużyć w fakturach i przy końcu miesiąca szczytać się w pustą kieszeń? Zaryzykuj. Nie postawisz, nie wygrasz. Dopuszcł się drobnej defraudacji. Revidenci rychło to wykryli.

No i ruszył nieublagany młyn sprawiedliwości. Nie pomogły łzy i zaklęcia. Landru poszedł na 2 lata do kibra.

Dwa lata spędzone za kratkami zupełnie Landru przeobraziły. Kryminal rzadko komu wyszedł na zdrowie. Wielu zaś najdokładniej powypaczał. Skazanego napadają w celi natrętne myśli o odegraniu się i porachunku. Dojrzewiają nowe, doskonalsze niyb plany oszustw, rabunku i napadów. Więzień nie ludzi się. Okaleczono go na całe życie. Wrytyo mu niewidzialną pięczęć na czole. Tej plamy nikt już potem nie zmyje, nic jej nie wymaże.

Po odbyciu kary Landru nie mógł marzyć o podjęciu pracy księgowego. Był notowany. Pozostała łopata. Tej się brzydził. Wyglądniały i przybity waleśał się bulwarami przebogatego Paryża, przepelniony nienawiścią do całego świata. Kiwał więc, fałszował i wyludzał. Odsiadywał krótsze, to znów dłuższe wyroki w 1904, 1906 i 1909 r. Ostatni, ten zaoczny właśnie wyrok opiewał na 4 lata ciężkich robót.

Wtedy to zmienił nazwisko i osiadł na Montmartre.

Wreszcie doszedł do wniosku, że najłatwiej będzie dobrać się do łatwowiernych kobiet. Z kobiet żyją fryzjerzy, księża i chiromanci. Czemuż i on nie miałby skorzystać? Jak uderzyć to raz, ale dobrze. Drobne kroczki nie prowadzą do niczego. Pierwszą złotą rybkę, jaką w sieć złowił, była wdowa Cuchet. Za nią poszły kwaciarki, barmanki, stare panny, nawet córy Koryntu, które w młodości utlukły mająteczek, wycofały się z interesu i zaczęły rozglądać za mężem. Miał do wyboru i koloru. Kobiety lepily się doń jak muchy do przysłowiowego miodu.

Stosował metody najprostsze za prostych. Dawał do paryskich gazet płatne ogłoszenia... miły, kulturalny pan w średnim wieku usilnie poszukuje twarzyski życia. Jest finansowo niezależny, kocha muzykę i wolne chwile spędza w podmiejskiej rezydencji... Starczyło, każdego dnia odbierał plik ofert. Mógł istotnie przebierać jak w ulegalkach.

Robił to z wyczuciem i węż nigdy go nie zawiódł.

Miał rzadką i w takich sprawach bezcenną zaletę. Umiał kobiety rozśmieszyć do łez, sypiąc żartami jak z rękawa. A wiadomo jak kobieta się śmieje, to tak jakby jedną nogą wdepnęła już do czyjegós łóżka. No i trzymał w zanadrzu starą, od wieków wypróbowaną przynętę. Obiecywał małżeństwo. Niech kto wskaże samotną wdowę, bądź opuszczoną starą pannę, która by się nie wzięła na taki haczyk. Stanę się żoną, Boże, będę miała prawdziwego męża.

Potem, na sali sądowej, jedni popatrywali na Landru z odrazą i wstrętem. Inni nie mogli oprzeć się uczuciu zawłści, zdumienia, nawet pewnego respektu. Francuz lęka się impotencji równie panicznie jak Anglik ewentualnych rogów. Popatrzcie, tam stoł przed sędziami stuprocentowy mężczyzna. Ujarzmił prawie trzysta kobiet. Landru, satyr z Bois de Bologne, frywolny i lubieżny podrywacz o mocy byka z Awdaluzji i krepie Herkulesa. Jak zagrał na swym flecie, każda szła za nim niyb zaczarowana.

Fernande Segret, jego dama od serca, ogłosiła później swe „Memoires”.

„...nagle wyrósł przede mną ktoś nieznanomy. Przywitał się z gracją, pytając czy mógłby mnie kawalek odprowadzić. Odmówiłam, mimo woli przyspieszając kroku. Ruszył za mną, dodając żartobliwie, że nie może zrozumieć dlaczego młode i ładne dziewczyny tak często wychodzą same na spacer, narażając się na bezcelne zaczepki podejrzanych typów. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Wtedy uchylił znów kapelusza, zaczął dowcipkować i przyklejać się na różne sposoby. Tak poznałam mego Henri...”

Fernande wspomina:

„...na przyjęciu w domu rodziców Henri odśpiewał przy kolacji kilka arii ze znanych oper głosem tak czystym i przejmującym, że wszyscy byli zachwyceni, a najbardziej mój dziadek. Odwiedziłam potem jego mieszkanie przy rue Rochechouart. Jakie było piękne, istna kwaciarnia, same róże, tulipany, fiołki i goździki. Zapach tyłu kwiatów wprost obeszalniał...”

Landru pozował na zapoznanego artystę. Śpiewał, recytował ulubionego Musseta, plodził sam sentymentalne wierszwdia, pełne wytartych słodkości. Wspinając się na szczyt hipokryzji, grał rolę pięknołucha, co wyżej dużo ceni wartości duchowe od tuch niskich, brudnych i szleszczacych banknotami. Przybierał maskę zagubionego romantyka, któremu wszyscy rzucają kłody pod nogi. Swego dopiał. Jego wielbicielki dopatrywały się w nim duszy wzniosłej i bez wątpienia szlachetnej.